

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 1 lipca 1945 r.

Nr. 31

MIECZYŚLAW WIONCZEK

## Na nowym pograniczu

Nad Nisą łużycką, w czerwcu.

Miasto zbiega ku rzece łagodnie i rytmicznie, jak łużyckie dziewczyny, które wydeptały na stokach kotliny ścieżkami schodziły przez stulecia ku Nisie po wodę. Rzeka płynnie powoli, szamocąc się z pniami zatopionych na poły, przybrzeżnych wierzb i z zaporami pogmatwanych szczątków mostów. Obce ciała, które tamują jej swobodną drogę, muszą ją drażnić i niepokoić. Nikt jej przecież od wieków nie tamował, choć wielu się przez nią przeprawiało. Pamięta nogi koni, na których w miejscach do przejścia stosownych, przebywali ją w czasach historycznej tych ziem młodoci rycerze ze wschodu i zachodu. Ci, co przychodzili ze wschodu w drodze na zachód, mówili językiem podobnym do języka dziewcząt, zbiegających po wodę i pastuchów, pojących w niej bydło. Ci z zachodu wydawali dźwięki gardłowe, szorstkie i urywane, takie same, jak wczorajsi wojownicy, którzy przy użyciu dynamitu zniszczyli wszystkie na Nisie mosty. Mosty, które przed wiekami rzucano ponad brodami i przez które iść musieli w drodze do Polski rycerze z Niemiec, Italii i Prowansji, i kupcy z Genui, Marsylii i Lyonu, i mnisi z klasztorów zachodnich. W niej pewnie poił konie Arab Ibrahim ben Jakub, pierwszy po Polsce wędrownik, Bolesław Chrobry w drodze nad Łabę i Sałę i królowie z Zachodu, do Kazimierza Wielkiego na słynną Wierzyńską ucztę wędrującą.

Tu, gdzie rozsiadło się miasto przez tubylców Zgorzelcem, przez napływających z Saksonii i Turynii przybyszów — Görlitz zwane, było przez rzekę przejście „an einer uralten aus Polen nach dem Reich führenden Handelsstrasse“ — jak pisał stary (uczciwszy od następców) Karl Bädcker w r. 1899. Kilka tygodni temu żołnierze w zielonych mundurach, potomstwo w żelazo zakutych drużyn cesarskich i wytwornych wojsk króla saskiego, tak jak i tamci posługujący się mową krótką i gwałtowną, do szczenia podobna, odeszli na zachód, a rzekę mijając, dokonali dzieła zniszczenia. W ślad za nimi na pięty im następując, ku rzece i miastu przyszli goście dawno niewidziani, a jednak mówią i obyczajami łużyckim podobni. Nie stanęli nad Nisą w rozpamiętywaniu biegów historii, bo czasu na to nie było. Poszli dalej w pogoni za „frykami“ i tego im skórę przetrzepali pod Dreznem i Budziszynem. Spotkałem ich tam między Nisą i Łabą, żołnierzy Drugiej Armii Polskiej, w stolicy łużyckiej Budziszynie, gdzie mowa słowiańska w naszych już czasach zamilkła. Siedzieli przed bramami domów w słońcu czerwcowego popołudnia, wydychając z siebie trud marszu zza Wisły nad Łabę i rozpamiętując poległych w drodze towarzyszy.

Nad Nisą, nad nową Polską granicę przyszli inni — dywizja siódma, wstawiona bojami nad Bałtykiem, pod Kołobrzegiem. I ci spod Budziszyna i ci spod Kołobrzega wszyscy w pogoni za wrogiem zawędrowawszy na ziemię zachodniej Słowiańszczyzny, nieświadomie potracali swymi żołnierskimi butami relikta historii, na światło dzienne odkopując czasy wielkiej naszej świetności — czasy zjazdu w Budziszynie i biskupstwa w Kołobrzegu. Ta dawna świetność podobnie starym świątyniom birmańskim zarosła puszcza, złą, ciemną, nienasyconą puszcza niemieckości, zarosła tak, że wydawało się, że nic z niej nie pozostanie, że nigdy się do niej nie uda nawiązać, bo wszystko bądź zmurszało, bądź skamieniało i jest martwe. A jednak martwe nie jest, jest tylko zmartwiało, bo coś z tej wielkości Polski bolesławowej pozostało w mowie Kaszubów z zachodniego Pomorza i Ślązaków z Opolszczyzny, w słowiańskich nazwach i nazwiskach kraju między Odrą i Nisą. Do tego odwołuje się żołnierz polski na granicy nad Nisą i polski starosta w Zgorzelcu, Lubaniu, Gubinie i Zeganiu, powiatach nadgranicznych. Czy pomożecie im wy, ludzie osiedli nad Wisłą?

Rzeka dzieli Zgorzelec na dwie nierówne części — mniejsza, coś koło dziesięciu tysięcy mieszkańców, leży po naszej stronie. Właściwe miasto z wspaniałymi gotyckimi i renesansowymi budowlami, pamiętającymi czasy, kiedy stolicą było — w wieku XIV — niezależnego związku sześciu miast górnołużyckich — Budziszyna, Zgorzelca, Kamienia (Kamentz), Lubija (Löbau), Lubania (Lauban) i Zittawy (Zittau), zostało po stronie niemieckiej. Kiedy kilka dni temu w pośpiesznej podróży z Wrocławia do Drezna przejeżdżałem przez

most na Nisie, po naszej stronie stało dwu polskich żołnierzy. Nie sprawdzano jeszcze dokumentów, nie było odprawy celnej i żadne znaki zewnętrzne nie wskazywały na fakt przekroczenia granicy państwa. Także i po tamtej stronie było jak najzwyczajniej. Jedna z setek sowieckich żołnierzy, regulujących ruch na szosach między Bytomiem a Saską Kamienicą (Chemnitz), wykonywała hieratyczne ruchy swymi żółtymi i czerwonymi chorągiewkami, wskazując objazd w górę ku centrum miasta. Przede mną były Łużyce, za plecami pozostała Polska.

Teraz kiedy wracałem, niedzielnego wieczora most zaludnił się wielce. Po stronie niemieckiej stał kilkusobowy patrol sowiecki (niemiecka straż graniczna skończyła się wraz z Trzecią Rzeszą), po naszej stronie w oczach kilkunastu polskich żołnierzy cieśle wykańczali budowę bramy z cienkich brzoźowych pni. Na jednej, gotowej już części powiewała biało-czerwona flaga. Brama była, o tak, zwyczajna i kojarzyła się z nią obrazy wiejskiego ołtarzyka, zbudowanego na procesję Bożego Ciała i ozdoby z drewnianych pni, którą cieśle uwieczniają szczyt nowo wybudowanego domu. Bo rzeczywiście w tej skromnej bramie granicznej tkwiły elementy, zawarte w tych dwu starych zwyczajach: dziękczynienia i świadomości, że kończymy budować nowy dom.

Straż graniczna nie bywa z natury rozmowna i niechętnie udziela wywiadów. Ta, bardzo jeszcze młoda, bo mająca dopiero trzy dni, mimo wyraźnej pogardy munduru dla cywilnego ubrania, przezyciężła urzędową lakoniczność, zwłaszcza że z kilkoma z nich byłem jednej, warszawskiej krwi. Dogadaliśmy się w pół słowa, mimo że nie mogłem im udzielić informacji o kolejach losu Franka Wiśniewskiego z Żąbkowskiej, ani Stefana Zięby spod trzynastego numeru na Tamce. Ze wstydem, całkiem zrozumiałym, musiałem przyznać, że nigdy, chociaż całe życie w Warszawie spędziłem, nie znałem tych mieszkańców stolicy. Ich gryzła nieświadomość losów rodziny, mnie gryzła coś całkiem innego. Spotykane od dwu tygodni na szosach Śląska mniejsze czy większe pochodny Niemców, wracających po wojnie do domu, „nach Schlesien“. Teraz wszystko stało się jasne. To ci, którzy skorzastali z przejściowego nielstnienia granicy i pchając wózki z wywieszonymi czerwonymi sztandarami, zdążyli do opuszczonych gospodarstw, „kandydaci“ na obywateli polskich narodowości niemieckiej. „W środę skończyła się łaba“ — oświadczył rzeczowo gołowąs-

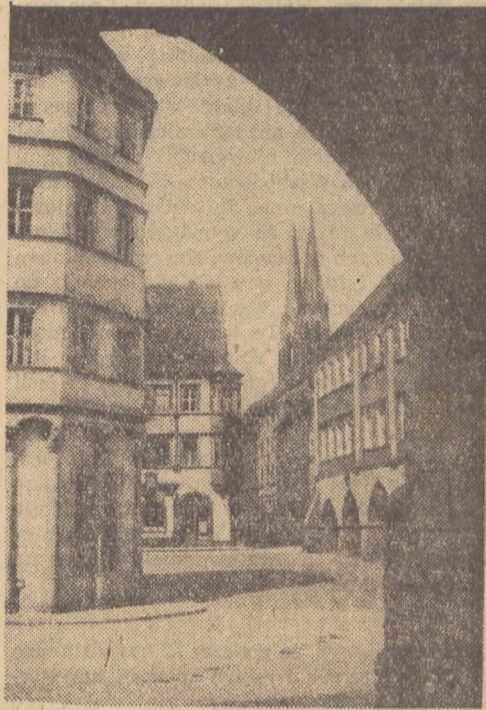
plutonowy i skierował mnie do wiszącego na pobliskim drzewie afisza. To było moje pierwsze spotkanie ze starostą zgorzeleckim, głową powiatu granicznego, położonego w odległości 398 km w linii prostej od Krakowa i 470 km od Warszawy. W tłumaczeniu na język polski znał Wisły, równa się to odległości Kraków—Bydgoszcz i Kraków—Łomża. Pan starosta za pośrednictwem dużego niebieskiego plakatu głosił w obu językach — polskim i niemieckim:

**Pełnomocnik Rzeczypospolitej Polskiej na Obwód 35 Dolnego Śląska — Zgorzelec, podaje do wiadomości: 1) żadnych przepustek dla osób narodowości niemieckiej do przejścia przez most, bądź wyjazdu przez most w głąb kraju na wschód wzgl. na zachód nie udziela się. 2) Osoby narodowości polskiej, obywatele Republiki Socjalistycznej, wszyscy obywatele narodowości obcych, mogą przepustki otrzymywać.**

Na moście było pusto. Po tamtej stronie gapiła się na polską stronę grupa Niemców i Niemek z wózkami, naładowanymi dobytkiem. „Es war einmal die Zeit“... kiedy żyło się tak wspaniale na zrąbowanym słowiańskim Śląsku. I oto od środy nie można już tam wracać.

Kiedy jechałem przez miasto do starostwa, było po dziewiątej wieczór. Poza to była niedziela. Po ulicach kręcili się nasi milicjanci, na murach widniały różne afisze z urzędowymi obwieszczeniami: o zdawaniu wszelkiego sprzętu wojskowego, o rejestracji ludności niemieckiej, o rejestracji sklepów i warsztatów rzemieślniczych. A także wielki czerwony plakat — „Plądrowanie jest karane śmiercią“, czyli „Wer plündert, wird mit dem Tode bestraft“. Ileż długich miesięcy wisiało krótkie i pełne wyrazu słowo Tod nad naszymi głowami. Teraz wisiał nad nimi. Nie potrafię poderżnąć gardła kurczęciu, ale ten wydany przez polskiego urzędnika afisz ze słowem „Tod“ dziwną mi sprawia satysfakcję.

Starosty nie zastałem. Pojechałem jednym z trzech posiadanych przez powiat samochodów do województwa w Lignicy. Na pożyczonej od wojska benzynie. Wicestarosta nie był wcale porą wizyty zaskoczony. Skończył właśnie przed chwilą swoje urzędowe zajęcia, mimo pourzędowego czasu i pił zsiadłe mleko, dostarczone z pobliskiego folwarku, w którym siedzi już polski administrator. Mieszkanie było najzwyczajniejsze w świecie, było światło elektryczne, gaz i woda (uwaga na rzecz tych czytelników, którzy po mej ostatniej kore-

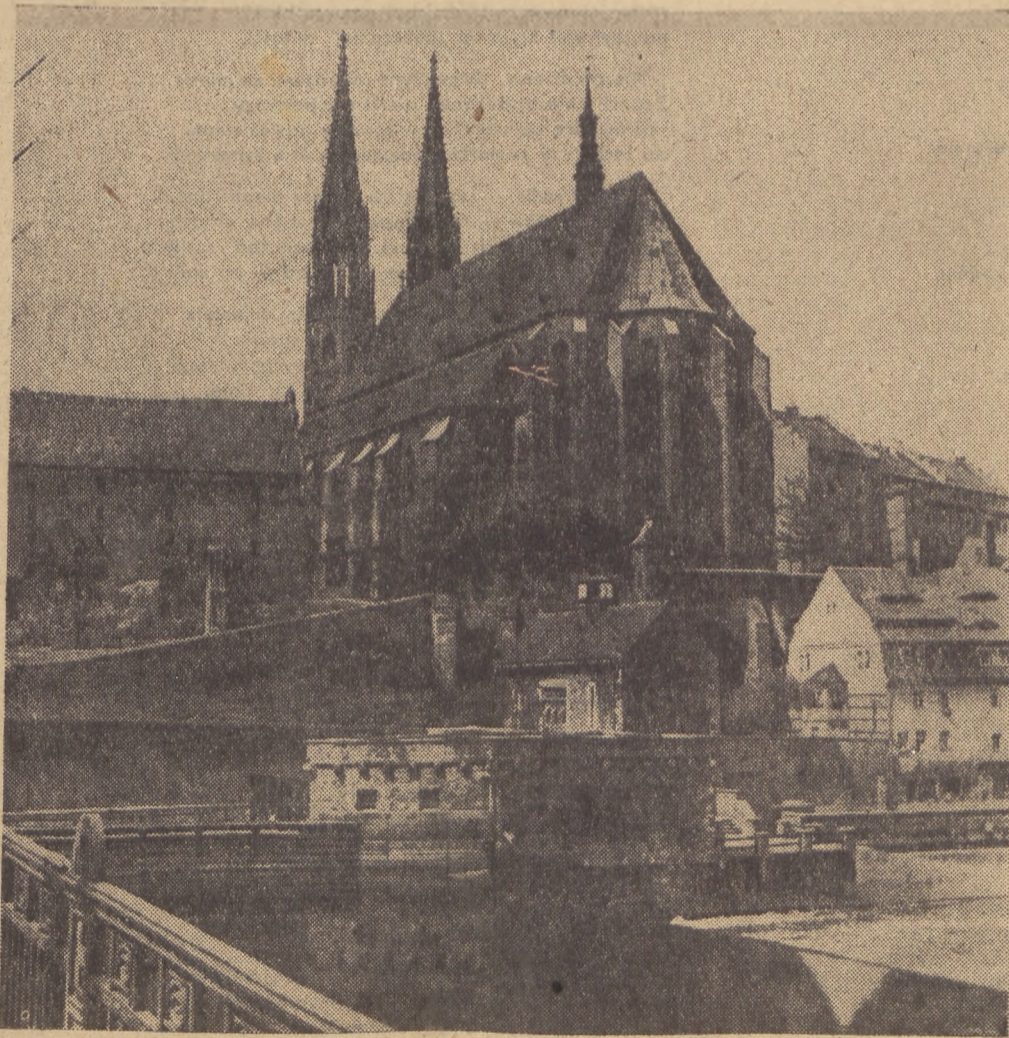


Zgorzelec. Stary Rynek

spondencji z Wrocławia wyobrażają sobie, że tu, na dalekim polskim zachodzie ludzie nie gołą się i piją wodę prosto z potoku). Siedzieliśmy i gadaliśmy do późna w noc, może trochę bezładnie, bo on chciał wypowiedzieć wszystko, co cieszy i boli, a mnie także wszystkim naraz obchodziło. Z rozmowy powoli zaczął się wyłaniać obraz tutejszej, znad granicy rzeczywistości. Ani różowy, ani czarny, ale wyrazisty w rysunku.

W Lignicy, stolicy administracyjnej Dolnego Śląska, siedzieliśmy trzy tygodnie, bo nie było czym jechać do Zgorzelca. Mimo że właściwie jedna ciężarówka problem rozwiązywała. Wreszcie samochody się znalazły i przyjechali do Zgorzelca dwa tygodnie temu. Byli pierwsi, bo wojsko przyszło w sześć dni potem. Jeden z samochodów popsuł się o kilkaset metrów od miasta. Było ich — siedemnaście urzędników starostwa i dwudziestu milicjantów — razem trzydziestu siedmiu ludzi. Dziś, w piętnaście dni po przybyciu, jest ich — pracowników starostwa i milicji — stu sześćdziesięciu. Trochę ludzi przyszło z głębi kraju na własną rękę, k'kunastu — to powracający do kraju z Niemiec inteligencji i robotnicy, reszta — oficerowie i podoficerowie, którzy przebywali na leczeniu w szpitalu obozu jeńców pod Zgorzelcem. Zdobyli w jakiś sposób dwa jeszcze samochody — jeden, pięciotonowa ciężarówka jest przedmiotem dumy całego powiatu. Zorganizowali stołówkę, w której jada się lepiej, niż w niejednej stołówce krakowskiej. W mieście jest spokój i ład. Objęli dwie czy trzy fabryczki, istniejące w tej części Zgorzelca. Wysyłają pierwsze rodziny osadnicze do pobliskich wsi. Namawiają przepływających przez miasto małorolnych i bezrolnych do pozostawiania na Śląsku. Pomagają w aprocjacji wojsku.

Czego im potrzeba? Ludzi. Nie zatekłych kancelistów z czterdziestoletnią praktyką, ale młodych otwartych głów, ludzi odważnych i energicznych, którzy tu na zachodzie mają szansę zrobienia kariery życiowej takiej, o jakich w zatłoczonej Warszawie, Krakowie i Łodzi ani się im nie śni. W korytarzach starostwa wiszą długie listy poszukiwań pracowników: brak maszynistów i techników samochodowych, fryzjerów i lekarzy, cieśli i agronomów, brak ludzi z prawdziwego zdarzenia. Bo tych z nieprawdziwego zdarzenia jest dość, może nie tu w Zgorzelcu, bo tu im się nie opta wędrować ze względu na odległość, ale na środkowym Dolnym Śląsku. Przyjeżdżają z delegacjami, pełnomocnictwami, pieczęciami i Bóg wie czym jeszcze. Posiadane dokumenty przewracają im w głowie, żądają ośmiopokojowych mieszkań z dwiema łazienkami z terminem dostarczenia czterogodzinnym, specjalnych przydziałów żywności na cele reprezentacyjne, bądź grozą aresztowaniem za wkroczenie w ich jasnie kompetencje. Inni, w godzinach przeznaczonych na pracę kolekcjonują wózki dziecięce, siodełka od rowerów, zegary elektryczne i różne inne ciekawostki. Inni jeszcze gorliwie organizują życie polityczne i zawodowe w mieście, gdzie jest kilkudziesięciu Polaków, są bliscy urządzania wieców i masówek dla nieistniejącej co prawda polskiej ludności. Tych na szczęście tam na granicę wiatr nie zaniósł. Ci operują Śląsk Średni, zachłystując się z oburzenia na biednych szabrowników, którzy pieszo spod Kielc z workiem na plecach przyszli i wynoszą stąd także na plecach pieszo jakieś stare prześcieradła i spódnice.



Zgorzelec. Kościół św. Piotra.

Ludzi, ludzi i ludzi — oto motyw, który muje się po zmęczonej głowie, kiedy gdzieś nad ranem człowiek zasypia po kilkugodzinnej, długiej rozmowie, jakie się tu na Śląsku prowadzi, ilekroć spotka się mądrego rozmówcę. I oto nagle przypomina się mi pewien tekst, który czytałem kilkakrotnie podczas okupacji w biurach niemieckich Generalnej Gubernii. Autorem jego jest niesławnej pamięci Joseph Goebbels. Cóż, od wrogów także trzeba się uczyć, jeśli przypadkiem powiedzieli coś rozsądnego. Mistrz Goebbels rozestał w roku chyba czterdziestym coś na poły kazaniem i wewnętrznym okólnikiem będąc, a co dotarło do najmniejszych nawet urzędników i biur na „niemieckim Wschodzie”. Mówił tam między innymi tak: „Wschód jest naszym zadaniem dziejowym. Dlatego też Wschód nie może być miejscem, gdzie zbierać się będą spensjonowani i stetryczali urzędnicy, ani ofiary własnych niepowodzeń życiowych, ani ludzie, którym się nie udało jakieś eksperymenty w głębi kraju, ani też mniejsi czy więksi szkodnicy i ludzie niewygodni w prowincji centralnych. Na Wschód muszą iść ludzie najzdolniejsi”. Rzecz inna, że zadanie dziejowe Niemiec było takie, że wymagało wysyłania najzdolniejszych oprawców. Naszym zadaniem jest Zachód i to, co powiedział Goebbels do Niemców idących na Wschód, ma także i dla nas pewną wartość. To też Zachód nie może być miejscem, gdzie zbierać się będą... itd. (doczytać należy z oryginalnej cytaty). A jeśli rzeczywiście nikt z ludzi, którzy znajdują się teraz między Gliwicami i Zgorzelcem, nie podpada pod żadną z wymienionych kategorii, to cytata z Goebbelsa została zaprodukowana profilaktycznie. Żeby nikt z tej kategorii nie przyjechał. Chociaż mnie się wydaje, że niestety niejednego takiego sam spotkałem tu na Dolnym Śląsku.

Mieczysław Wionczek

Dziękuję losowi, że podczas kilkugodzinnego pobytu w Zgorzelcu takich spotkań nie miałem. Wyjeżdżam wczesnym rankiem. Przed gmachem starostwa gromadzą się pierwsi petenci. To ci, co czekają na przepustki do kraju, z którym się rozstali przed kilku laty. Słońce pada na kierownicę. Droga wiedzie na wschód, poprzez Lubań, Bolesławiec, Lignicę, Wrocław. Miasto opada ku Nisie równie łagodnie, jak wczoraj wieczorem. Patrol wojskowy idzie w stronę granicznego mostu. Zapuszczam motor. Jedziemy. Za plecami mam Niemcy, przed sobą Polskę.

MAKSYMILIAN BORUCHOWICZ (M. M. BORWICZ)

## WIERŠE OBOZOWE

Wiersze, składające się na pierwszą część tomiku „Za śmiercią na „ly” (którego część obejmuje wiersze z paraliżantki), powstały w obozie śmierci pod Lwowem (daw. „obóz jęnowski”, por. artykuł „Literatura w obozie”, „Odrodzenie”, nr 21) w ciągu roku 1943. Nazwałbym je wierszowaną prozą. Chcę przez to powiedzieć, że są to utwory, pisane przez autora-prozaka. Formę mowy więziennej zdefiniowały warunki: wiersz łatwiej niż prozę przeczytać w myśli i łatwiej niż prozę wyuczyć się go na pamięć. Jedno i drugie było konieczne, skoro utwory te powstawały w zasięgu morderczego wzroku, „pejczdów” i automatów esesowców, a recytowane były głównie nocą, na przyłocz. Po włoze: nie są to wiersze o obozie, lecz wiersze powstałe w obozie. Dokony-

wane na miejscu zbrodnie obozowcy znali aż nazbyt dobrze. Ślad (samozwul-na zresztą) przewaga w tych utworach pierwiastka refleksyjnego nad opisowym i ujęć cząstkowych nad syntetycznymi. Kilka z wierszy składających się na wymieniony tomik ukazało się potem w wydanej konspiracyjnie (w Warszawie) antologii p. n. „Z obozów”. Niektóre (nawet z tych, które w obozie miały wymowę najmocniejszą, w normalnych warunkach nie nadejść się do publikacji). Częścią ze względu na użyte w nich — nazbyt już obozowe — wyrażenia, częścią dlatego, że — zwiastana z okrasionymi wydarzeniami — dla niezających tych wydarzeń byłoby obecnie niezrozumiałe.

### „AUSSIEDLUNG”

Ciemno było i mroźno. Ból zamarzał w sople, gdy Cię pociąg uwoził w tej grozy zawieję. Rozpacz biła o ściany. Piótonowe kropkle gradem flukły w kładzioną do grobu nadzieję.

Znowu trudy się myśli sierzpami rachunku wzruszeń kiedyś zakwitłych, niedoigranej roli. Jadowały jest posmak w takim wspomnięciu trunku. — Spokoju, moja miła! Ja wiem, że to boli.

Samolna byłaś w tym posępnym tłumie, chociaż tych wszystkich jedne myśli dręcały. Milczysz, wiedząc, że do dna nikt Cię nie zrozumie, uwieziony własnego cierpienia obręczą.

Tyle jest kłębki w każdym takim cieniu, tyle krzywdy miazdzącej się razem... Płynie krew i płacz dławi w bezbronnym milczeniu, taśmą jadu oblepia jak żrącym bandażem.

Nie wiem, gdzie jesteś; ale jeśli jesteś, jedziesz wciąż jeszcze pociągami tym samym, co i my wszyscy: zmęczona, przybita, z tęsknotą poranioną, sercem skolałanym.

— Spokoju, moja miła! Nie łzaw modrych oczu. Rozpacz odrzuć słowa. Nawet losu nie łaj. To przecież takie proszę: wszystkich nas rzucono podłym czasem i sepieją lawinie na przelaj.

— Uciszyć serce zbolele! Z nami giną inni, wydani kłębki długim, drętym rzędem. Morituri — wiesz o tym — kłamać nie powinieli, więc Cię łatwymi słowami pocieszać nie będą.

— Spokoju, moja miła! Cóż, że nad kotłuską do innych — zda się — los przeznaczeń wolał? W naszej dobie grób z życiem sąsiadują blisko... No, nie marszcz, miła, stroskanego czoła!

W tę przeogromną zbrodni piramidę przyszłość się wdziera. Czujnie nastaw ucho! Łza niech zakwita w oczach, która przyjdą po nas i które o nas dumać będą cicho.

Rachunek niezamknięty. Ogień pali w ręku. Wzgardź narkozą rozpacz! Płuć w słabości gust! Nam umierać lub przeżyć, lecz bez tży i jęku. — Serce w garść, moja miła! Mocno załnij usta!

ZOFIA NALKOWSKA

## WĘZŁY ŻYCIA

ROZDZIAŁ VI.

Zaraz po wyjściu z domu Sonka zadzwoniła do kancelarii więziennej. O tej porze odezwał się tam tylko woźny. Od niego więc usiłowała się dowiedzieć, czy nie przyszedł w ostatniej chwili rozkaz zwolnienia dla Cyngala. I usłyszała, że nie, że natomiast jest z nim bardzo źle. Że był ksiądz, ale Cyngal jest nieprzytomny i nie chciał się spowiadać.

Edmund idąc obok, wynajdywał dla niej niemądre argumenty pocieszające. Sonka myślała jeszcze o sposobach ratunku. Nie mogła tak zostawić tego umierającego chłopca. Ale nie o każdej porze miała dostęp do więzienia. A Oxeński — to było jasne — nie chciał zrobić nic.

Jej myśl nie po raz pierwszy wracała do jedynego człowieka, który to rozumiał, który mógł coś zaradzić. Baraz był tym, który zaprowadził ją tam po raz pierwszy i dał jej poznać ten świat. Wiedziała, że powróci, że już odtąd będzie tam wracała stale.

Może najważniejszy był ten pierwszy dzień. Długo nie mogła pojąć, że to jest możliwe. Pamiętała każdego więźnia, z którym mówiła tego dnia. Zapamiętała też na zawsze zapach więziennego szpitala — tak ciężki i dotykany, jakby oddychało się tam nie powietrzem, tylko oleistym wyciągiem z kapusty kwaszonej, potu śmiertelnego i świeżych odchodów. Było tak, pomimo że właściwie więzienie utrzymywane było dość czysto, że chorzy mieli zmienioną bieliznę, a po celach chodził felczer w białym fartuchu.

Poszła tam z jedną starszą kobietą i trzema prawnikami, z których jednym był Baraz. Chodzili od celi do celi szerokimi, ciemną olejną farbą malowanymi korytarzami. Dozorca miał w ręku klucze symbolicznie wielkie, jak u posągów świętego Piotra, który otwierał nimi drzwi nieba.

Czystymi schodami wyszli pod górę przed ciężkie, okute, na ten wielki klucz zamknięte drzwi. Dozorca otworzył je z łoskotem i coś powiedział do towarzyszącej im więziennych władzy. Znaleźli się w innym znów korytarzu, z którego w jedną tylko stronę prowadziły

\*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13-30 „Odrodzenia”.

drzwi do cel. W drugiej ścianie były dość duże okna na świat. Drzwi do cel szły rzędem jedno za drugim, tak samo ciężkie i żelazne. Inspektor objaśnił, że wszystko to są cele z gruzlicą.

Jeszcze pamiętała tych dwóch, którzy najpierwsi umarli. Jeden leżał na boku i miał pod biodro podłożoną gumową czerwoną poduszkę. Ten umierał na gruźlicę kości, a jedynym życzeniem, jakie wyraził przed śmiercią, było, że chciałby gorącej wody wieczorem. Drugi miał twarz płaską, jak maska, oczy skośne, nos krótki i nozdrza tak wielkie, jak gdyby można było zajrzeć mu przez nie na dno czaszki. Ten niczego nie pragnął.

Łóżko, w którym umarł ten milczący, na długo potem zajął Cyngal. Jego głowa o okrągłej, jasnej twarzy leżała na tej samej szarej, słomą wypchanej poduszce. Popielaty ciemny koc okrywał go po szyję. Był bardzo młody. Zapytany o życzenia, odparł obojętnie, prawie na nich nie patrząc:

— Chcę tylko, żeby już osadzili moją sprawę. Gdyby osadzili moją sprawę, byłbym wolny. A przez to, że mnie trzymają, muszę umierać.

To, że musiał umierać, nie było wcale oczywiste. Był błydy, ale twarz miał dość pełną, obwiedzioną naiwnym konturem dziecięcym. Jego wielkie szare oczy ze zbyt kownymi rzęsami i za duże usta, grube i błęde, miały na sobie nieuchwytny zimny cień więzienia. Piękne zęby, wielkie, zdrowe i młode, świeciły się, gdy mówił. Wydawał się błydy i chłodny, jednak gorączkę od początku miał wysoką. I od początku miał owiazane gardło. Jednak nie pomyślała o nim, że jest poważnie chory.

Gdy podchodzili do niego, dozorca — jakby chcąc ich zniechęcić — mówił wzgardliwie:

— E, to nic, to polityczny, to tam taki jeden polityczny...

Polityczny, który nic nie ukradł, nikogo nie zabił, — to nie było poważne, nie było warte oglądania. Dozorcy chętniej pokazywali więźniów ciekawszych, ciężkich przestępców i zbrodniarzy, z których byli dumni.

Ojciec Cyngala odwiedził syna w więzieniu, ale może tylko ze trzy razy. Mieszkał daleko, przy samej granicy. Nie łatwo mu było

przyjeżdżać. Sonka nigdy tego ojca nie widziała.

Za każdym razem, gdy tam przyszła, mówił to samo. Nie interesował się wcale tym, co przyniosła. Mówił niechętnie, patrząc wielkimi, szarymi oczyma przed siebie, że chce, aby prędzej sędził jego sprawę.

Mówił sennie, wciąż na twarzy pełny, czy może spuchnięty, że ten karabin, co u nich znaleźli, to był tam jeszcze od wojny schowany. Tak sobie został, jak u innych. Inni schowali, to i u nich leżał też. Bili go, żeby się przyznał, więc się przyznał. Ale nie mógł powiedzieć, kiedy chodził przez granicę, bo nie chodził.

Nie zawsze był obojętny. Czasami drgała mu broda, jak u dziecka, gdy powstrzymuje się od płaczu. Jednak nie rozplakał się nigdy. Starala się uzyskać dla niego zwolnienie za kaucją — naprzód zwykłymi drogami, później przez Oxeńskiego. Jak inni mógłby pojechać do tego ojca na wieś. Można by go na razie umieścić w miejskim szpitalu, w lepszych warunkach, i później na wieś odesłać.

Tak myślała, póki nie powiedział raz: — Krew mi już idzie gardłem. Już nie mogę nie jeść.

Teraz było za późno. Ale próbowała jeszcze to zrobić w nadziei, że odzyskana wolność może wrócić mu zdrowie.

Wchodząc do Oxeńskich Sonka i Edmund zminęli się we drzwiach z bardzo wzburzoną Katarzyną. Miała na sobie futro i kapelusz, była różowa i pachnąca. Nie chciała ich wpuścić do Oxeńskiego, ale na perswazje Edmunda nagle ustąpiła i powiedziała szorstko, że jest jej już wszystko jedno.

Edmund nieśmiało otworzył drzwi do ojca. — Pali się światło u ciebie, więc widzę, że nie śpisz.

— Nie śpię.

— Jest Sonka.

— Sonka? To dobrze, — mruzczał.

Dźwignął się z legowiska i obciągał na sobie ubranie.

— A gdzie Kasia?

— Wysłała właśnie. Mój drogi, uspokój jakoś Sonkę, dlaczego nie chcesz jej tego zrobić? — Dziwna rzecz, była tu przed chwilą. Nic nie mówiła, że wychodzi. Czy się gniewała?

Sonka wtargnęła za Edmudem. — Antoni, ty chyba udajesz. Dlaczego nie kazałeś zwolnić Cyngala i nawet mi o tym nie powiedziałeś? Dlaczego się ukrywasz przede mną?

Oxeński zbierał myśli. Jednak nagłe wyjście z domu Kasi, tak na niego rozgoryczonej, znajdowało się wciąż na pierwszym ich planie.

— Poczekaj, poczekaj, — mówił do Sonki, usiłując ją jakoś przywitać. — W tej sprawie nie on jeden siedzi, jest ich czterdziestu. Mówiłem ci, że są trudności. Ale muszę przyznać, rzeczywiście wyszło mi to z głowy.

Zakrzętała się jakby, coś poruszył na biurku w papierach i sięgnął ręką do tuby telefonu. Cofnął ją jednak w zamyśleniu.

— Nie, no cóż, — bąkał. — O tej porze nikt mi tego nie zrobi. Jutro z samego rana zadzwonię. Edmund przypomni mi przed wyjściem.

Nagle się uspokoił i rozjaśnił. Uczuł to tak, jakby mu całkowicie ulżyło. Jakby o wszystkim już teraz obróciło się na lepsze.

— Usiądź, Sonka, rozbierz się, tu gorąco. Napijemy się herbaty, albo co... Dziuniu, zadzwoń, proszę cię na Julię. Kasia zaraz chyba wróci, nic mi nie mówiła, że gdzieś idzie. Na pewno widzieliście, że wyszła?

Sonka nie chciała usiąść.

— Daj mi spokój, ja nic nie chcę. Ja ci już nic nie wierzę, Antoni.

Usiadła jednak ostatecznie i nawet pozwoliła sobie dać herbaty. Ale jej nie piła, bezmyślnie miesząc łyżeczką, by cukier się rozpuścił.

— Ja ciebie nie rozumiem zupełnie, — mówiła. — Ja przecież wszystko dobrze pamiętam. Nawet pamiętam ten twój list, który wtedy tyle narobił hałasu.

Recytowała z pamięci:

„Jeżeli życie Polaków, jako niepodległego narodu i istnienie Polski, jako silnego państwa, stwarza tę konieczność, aby zawsze ktoś zamknięty był w jej więzieniach...”

To mówiła głośno i wyraźnie. I zaraz w oczach Oxeńskiego odmalowała się niepewność. Zamilkł ostrożnie, jakby szło nie o niego. Jakby się tutaj toczyły w niczym go nie dotyczące sprawy.

Uciekał myślą do rzeczy pewniejszych, do Katarzyny.

— Pamiętasz, że to pisałeś, czy nie? Że to pisałeś ty? — nalegała Sonka podniesionym głosem.

Znowu nie odpowiadał. Tak było bezpiecznie, tak było pewniej. Już teraz uratować go mogło tylko milczenie.

— Mówiłeś, — ciągnęła Sonka, — ty sam mówiłeś, że ci zamknęli to są prosto ludzie innego zdania. I to już wystarczy...

Oxeński myślał o Katarzynie, że taka była zawsze. Jej nieśmiałość i czułość i pokora tak łatwo przekreślała się w nienawiść i gniew. Myślał o tej chwili, gdy tu kłęczała przy tapczanie i wargami dotykała jego rąk — jakby go chciała przejechać, jakby uzyskać chciała przebaczenie za to, że jest jego ofiarą.

— To, co zrobiłeś z Cyngalem, to jest zbrodnia, słyszysz? To jest zwyczajne morderstwo, co zrobiłeś z Cyngalem! — huknęło w całym jestestwie Oxeńskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

### EROTYK

Więźnia przechodzącego z numerem na plecach nie przywołuj, dziewczyno, uśmiechem orędzim. Pachniesz skutą młodością i twój wzrok podnieca; łatwo mógłbym ci ulec, i — co wtedy będzie?

W kałowni cierpkie tylko być mogą uściski: porywcze, jak przystało na progu nicości, rozłagnione czuwaniem, by oprawca bliski nie wytopił kryjówki „bezczelnej” miłości.

Nie pójdziemy, dziewczyno, miedzami za miasto. Zapach świeżej beżmyśli piersi nie poszerzy. Wprowadzę cię najwyżej w piwnicę gdzieś ciasną, do lochu czy komórki. Będziem smutnie szczerzy.

Zamiast radia — wysłtów odgłos nieparadny. Zamiast kwiatów — mdły zapach dławiący wilgocią. Żadnych marzeń, dziewczyno, i przyrzeczeń żadnych. Żadnych planów na jutro nie nasze, bo — po co?

Za sobą mając cmentarz i przed sobą cmentarz, bezsilnością przebić w tym ze życia grobie, ja i ty wiesz, dziewczyno: żadnym „czy pamiętasz?” nie wypomnisz tych pieśczoł, ani ja ich tobie.

W ciału twoje niewolą nabite się wpije, Ty zaś, leżąc w ciemności, na skrzyniach i derce, wspomnisz trupa. Zrozumiem wtedy, że miłujesz nie by serce radować, lecz by kłamać serce.

...Więc cóż, że dać wam jeszcze chciałem śmierć śpieszną na straceńszym wale? I cóż, że wierni padli przy tym za rewolwery... nienabile?

Nie doszli szanca. Bunkier goły drogi pomieszał im do nieba. (W spróchniałe śmierci oczodoły różnie się patrzy. Zimno trzeba!)

Nie zebrać złudzeń! Cudów znikąd, więc niech świadomość starczy żrąca! Jam nie pocieszał sofistyką mdłych przysłów, które piżmem trąca.

Czarną prawdą tu świecąc w tym nicości oknie, łkwią jak nabój w mauzerze loczonym już od rdzy. Z jasną myślą co w dymie okrucieństw nie ślepnie, i z sercem wskroś przebijłym, co krwawi lecz nie drży.

KAZIMIERZ BRANDYS

# Drogowskazy

W niesiabnącej na łamach pism dyskusji o prozie literackiej, coraz obszerniej wydawnia się obraz przemysłu dokonanych w czasie, gdy człowiek stanął oko w oko z historią i śmiercią. Opinie w niej wymieniane mają swój ciężar; stoi za nimi pięć lat doświadczeń tak ważkich, że ludzie którzy ich zaznali mają prawo rewidować przeszłość i czuwać nad przyszłością. Rozmowa o realizmie, która wywiązała się jako naczelny w tej dyskusji problem, nie jest podyktowana modą jednego sezonu, ani, jak bywało, gustem jednej kawiarni; posiada głębokie źródła, palące przyczyny w niedoborach i dewiacjach czasów przedwrześniowych, które w świetle najokrutniejszych wniosków, jakie kiedykolwiek wysnuło z błędów ludzkich na ziemi, uzyskały swój arcybolesny wyraz. Postulat realizmu jest w chwili obecnej odczuwany tym żywiej, że nie dość go było w prozie ostatniego dwudziestolecia; stał się potrzebą żywej egzystencji twórczej, która domaga się silnej odtrutki na manieryzm, imaginizm, psychologizm czy estetyzm — hojny pokarm ostatnich przedwojennych lat. Każdy, kto rzeczy sztuki odczuwa jako rzeczy swoje, powinien w wyniku tej dyskusji określić swą postawę, by rozgwar literacki który rozległ się w prasie i wokół prasy w niedawnych dniach, nie odpłynął w eter, jak byłe inteligentka o sztuce rozmowa, których jakże wiele; by spełnił swą funkcję społeczną w kraju, w którym myśl zbiorowa tylekroć traciła ciągłość. Dzieje Polski odbywają się nie tylko nad Odrą i Nisą, ale w każdym słowie, które ugruntuje prawdę o ziemi sięgającej po Nisę i Odrę, i w każdej treści, którą wzbogaci swym wkładem myśl porządkująca obraz spraw własnych po nocy nienawiści. Dlatego sądy o polskiej twórczości literackiej wydają się tak cenne dziś, kiedy widać pierwsze zaledwie jej próby po sześciolatnim milczeniu, kiedy dalsze jej drogi zależą od wyboru w świadomości twórczej jednych stwierdzeń na niekorzyść innych i wreszcie gdy w grze opinii i też pada postulat dalekosiężny, dotyczący głębokich narwarstwieni treści nie tylko artystycznych — realizm.

Fakt, że został wysunięty u progu nowej egzystencji politycznej i społecznej tłumaczy się tym, że okres społeczno-polityczny skompromitowany w oczach wszystkich, którzy przeżyli klęskę, wytworzył literaturę, w której przeważały cechy mu wrogie, antyrealistyczne. Gdyby ktoś zechciał na swój użytek poznać postawę artystyczną najbardziej z nim sprzeczną, należałoby podszeptać treściwi jego antytezę, mieszczącą się w słowie: formalizm. Było go wiele w dwudziestolecu, pogrzebanym wrześnie. To słowo zamyka w sobie wszystko nam dziś niemiłe, a oznacza obojętność wobec rzeczywistych zjawisk świata i nadużywanie ich prawdy na rzecz wartości formalnych: konstrukcji, kompozycji, stylizacji i innych, różnorodnych i zawiłych. Dla celów estetycznych formalista ukazuje świat jako swą osobistą wizję, nie dbając o rządzące nim prawa i ignorując je jako środek poznania; stawia ponad wszystkim swe widzenie subiektywne, widmo idei własnych. W tym świecie dzieć się może wszystko niemożliwe dla dobra kształtu, gdy w świecie realisty dzieje się wszystko możliwe dla dobra prawdy — rzekłby miłośnik sformułowań polarnych, wskazując biegunowe krańce zjawisk. Formalista często omija słowo „jak” w miejscu, gdzie realista by go nie opuścił; powiada: „ten człowiek jest ptakiem”, gdy jego antypoda powiedziałby: „ten człowiek wygląda jak ptak, lub zachowuje się jak ptak”. To potężne słowo „jak” spełnia tu rolę fortyfikującą, odgradza go od nadużyć wobec prawdy rzeczy poznawalnych, chroni jego świat przed gwałtem formy lub ekspresji, jaki zadaje mu formalista, który łatwo burzy rzeczywistość pokazując człowieka — ptaka, człowieka — diabła, Syrenę i Centaurę, śnieg w lipcowe skwary i kaczkę o głosie dziewczeczki.

Te wrocie gatunki występują nie zawsze w postaciach tak skrajnych. Jeden i drugi pojawia się często w kształtach osłonionych i nie wykrzywając obrazu rzeczywistości, zaciiera tylko jej granice, albo zachowując zgrubsza dyscyplinę zjawisk widzialnych, używa czasem metafor od niej odległych, porównań fantastycznych, za pomocą których podważa wiarygodność świata nie wyracając jego praw. Realista z krwi nie porówna ojca w trumnie do tartinki, ani dziewczyny grającej na harfie do wilkołaka u studni, bo wie, że świat się chwieje od takich porównań; szuka więc pokrewieństw obiektywnych i sprawdzalnych dbając o wierny im rygor skojarzeń.

Wiara w poznawalność bytu i wierność faktom rzeczywistym jest potrzebą naszych dni. Człowiek pohlterowski szuka ustaleń niewzruszonych i powszechnych, chce oprzeć nogę o twardy grunt, który wyrwano mu spod nóg. Jeśli ktokolwiek wybaczy tę analogię laicką i naiwną, ten przyzna, że dane mu było poznać plmie obłądnych formalistów, którzy czynili wszystko niemożliwe i niereczywiste, aby narzucić światu swą kompozycję władzy środkami nienawiści, przemocy i zbrodni. Wszyscy, którzy przeżyli Noc Nibelungów nad Wisłą, Bugiem i Wartą, którzy widzieli

miliony ludzi w gazie, w ogniu i krwi, skazywane na śmierć dla formalnych założeń konstrukcji społeczno-politycznej, wszyscy ci nie pragną nigdy i nigdzie doznawać świata w postaci nerwowej wizji osobistej, nie popartej racją obiektywną. Synowie metafizycznej ojczyzny wynaleźli w Europie Stendhala, Tolstoja i Manna ornamentykę drutów kolczastych i strzelniczych wież, każąc humanistom wszystkich państw i miast pamiętać do ostatnich skurczów, że giną w imię kompozycji świata, w której nie mogli się zmieścić. Człowiek znad Wisły, Sekwany czy Skaldy, któremu przez pięć gregoriańskich lat ukazywano szaleństwo za prawdę, łaknie utwierdzeń powszechnych, widzialnych, obowiązujących w świetle rzeczywistości niezmiennej, która go nigdy nie zwiodła i nigdy mu nie skłamała, jak słońce nigdy nie skłamię południa, jak księżyc nowiu, a rośliny wiosny.

Powrót do realizmu w prozie, nie tylko polskiej, musi nastąpić w obliczu napierającej problematyki społecznej, której ominąć nie będzie w stanie sumienie pisarza wrażliwego na związki z człowiekiem i bytem zbiorowym. Dzieje ostatnich lat w zbyt okrutnym świetle ukazały mu przerażający obraz fałszów i wyrodzeń społecznych, aby mógł przemilczeć ich rozmiar i skutki w swej opowieści o ludziach. Człowiek w obrazach prozy literackiej najbliższych dziesięcioleci będzie zapewne ustawiony w krzyżowych błyskach najwyższych zmagania ze śmiercią, upadkiem, słabością, w walce o godność i wolność, w obronie cudzego życia i własnych rozstrzygnięć; ale tylko ślepiec mógłby w tej walce przedstawić go w samotnej iluminacji patetyzmu, zdala od treści, z których wyległ się on, jego dramat i zmagania, jego wrogowie i przesładowcy, zdrajcy i towarzysze. Nie ma realizmu bez wiedzy o świecie. Kto nie rozumie, lub nie zechce uznać faszyzmu za instrument kapitału w walce o własne bezpieczeństwo i bogactwo, temu trudno będzie stać się realistą w literaturze naszego stulecia. To, czego zaznał człowiek w straszliwej przygodzie wojny i niewoli, musi znaleźć swe wytłumaczenie — inaczej twórczość nadchodzących czasów nie spełni swych przeznaczeń. Wielkim zadaniem, zaszczytnym obowiązkiem twórców ksiąg o ludziach, będzie głębokie wniknięcie w fundamentalne warstwy przyczyn nieraz odległych i niejawnych, w istotną grę sprzeczności, w prawdziwe podłoże wydarzeń, które zepchnęły człowieka w infernalną czelusz niewoli niemieckiej. Tylko najgłębsza wiara w poznawalność świata może wyłonić artystycznie spisane dzieje tych czasów i człowieka, które on sam zrozumie, w których pozna siebie i ujrz swój świat. Nikt, kto przeżył te dni, nie powinien z nich wyjść nieoświecony, osłupiały od wspomnień i obrazów, których sam nie potrafi określić ani uzasadnić. Było by to największe zło naszych czasów, gdyby ich myśl nie zdołała ustalić masy, rozmiaru i jakości historycznej zjawisk, które dziś jeszcze straszą w snach, ograniczyć ich zakresu w tle pojęć i wartości, aby ci, którzy sami tego uczynić nie mogą, nie zwątpili na zawsze w logiczną grę wydarzeń, w zasadność przyczyn i skutków i uwolnili się od widma obłędu i zła. Skoro więc myśl pisarska czasów już biejących nie zechce porzucić misji najbardziej zaszczytnej, musi swe przewodnictwo w wykładzie treści i idei ugruntować na rozległej wiedzy o człowieku w świecie, rządzonej przez siły uchwytne i wymierne, o człowieku pod uciskiem losów zrozumiałych, w walce o dobra należne i wszystkim dostępne.

Pożytek realizmu w pisarstwie ma swe głębokie racje zwłaszcza w Polsce, w której skłonność do porzucania gruntu, prawd rzeczowych wywodzi się z dni daleko przedwczorajszych. Jest to u nas postulat olbrzymi, wykraczający nieomal poza literaturę, a nawet sztukę w ogóle, sięgający korzeni charakteru zbiorowości polskiej, która potrafiła tak skwapliwie wytworzyć niewczesny mit o sobie, deformację na polu artystyczną — złotą wolność, pierwszy nadrealizm Polski wkraczającej w burzę i mroki dziejowe. W kraju, od trzech stuleci pozbawionym swych wielkich piór politycznych, które umiały niegdyś trafnie formułować jego osobowość dziejową, na ziemi, która od dawna przestała wydawać realistów rozległych zagadnień publicznych — nie łatwo o realizm.

Skoro się woła o realizm w polskiej prozie, trzeba mu przygotować łożysko, wypracować grunt, wykształcić w umysłowości społecznej tę zdolność widzenia rzeczy bez fałszu, zdolność Francuzów i Anglików, wielkich realistów we wszystkich dziedzinach życia. Za zamówienie artystyczne w sztuce trzeba zapłacić cenę. Nie wydaliliśmy we właściwym czasie wielkiej warstwy mieszczańskiej, jakże więc moglibyśmy naraz mieć wielki realizm w sztuce; nie stworzyliśmy dość wcześnie potężnego przemysłu, aby móc dziś z dnia na dzień ożywić się jednym gestem z potężnych mitów antyindustrialnej szlachetczyzny; nie mieliśmy swych Herzenów, Bielińskich, Czernyszewskich, przenikliwych myślicieli i krytyków, bystrych spostrzegaczy fałszów, którym naród zawdzięcza wiedzę o sobie w świecie — gdzie więc realizm polski ma szukać zasilen, jeśli przeszłość odmawia mu baz ma-

terii i myśli. Nie ma realizmu bez wiedzy o świecie i bez stwierdzenia w nim swej tożsamości. Polska, która tylekroć nie dotrzymywała kroku europejskim przemianom historycznym, dziś znów wkroczyła w okres wielkich prób i niezmiernych przesileń. Potężna warstwa ludowa szuka dla siebie świadomych dróg w narodzie, który tak często cierpiał, nie chcąc korzystać z rezerwy jej energii. Nie wolno chybić tej chwili. Wszelka twórczość polska musi sięgnąć do najprawdziwszych pokładów wiedzy o ziemi polskiej, zacerpnąć tchu z wielkich obszarów, na których rodzą się ludzie związani z niezachwianym obrotem rzeczy codziennych i niezmiennych, z urodzajem i deszczem, suszą i zasiewem. Losy literatury, losy sztuki, losy narodu spoczywają dziś w rękach tych, którzy stworzą w Polsce naukę o świecie, którzy stworzą w Polsce naukę o Polsce, którzy w pracy nad powołaniem do udziału w twórczej kulturze narodu świadomych warstw chłopsko-robotniczych organizują uniwersytety ludowe, domy kultury, świetlice fabryczne, szkolnictwo powszechne. To będzie polski realizm.

Ten realizm ma w Polsce skąpe rodowody i obfite negacje. Istnieje jego szczególna antyteza, jego wyłącznie polska antyteza, nie formalizm, ale ów ciąg romantyczny, mistyczny sentymentalizm narodowy w sztuce, którym Wielka Trójca obciążała na dziesiątki lat prozę, nie tylko poezję. Ten potężny cykl twórczy pozwolił wysnuć ze swych największych dzieł najmniej trafne wnioski, ukazał wszystkim polskim Połanieckim rozmowę z Bogiem i wszyscy Połaniecy uwierzyli, że w Polsce łatwo z Bogiem rozmawiać. Siła jego wielkiej metafory wykorzystana na długie pokolenia twórczą myśl polską z gruntu prawd rzeczywistych i wydarzeń prawdziwych. Najświetniejsze talenty nie umiały się jej oprzeć. Sienkiewicz, wielki realista z instynktu, dał się uwieść najpochlebniejszemu przenośniom romantycznemu o narodzie i popadł w mistyfikację. Niestety nie go posadza o autorstwo fikcji dziejowych powołanych do życia w „Trylogii”; żyły bowiem już przed nim. On, podatne ich medium, stworzył im tylko dobry przewód, jak miedziana rurka prądem elektrycznym, dał im ludzi, nazwiska, fabułę, spersonalizował mit o Polsce nieprawdziwej, zakomponował w purpuranckim rozmachem w formę prawdy rzeczywistej wibracje sentymentów polskich. Uznanie wyższości „czucia” nad widzeniem rozumnym stało się kategorią świadomości artystycznej w ojczyźnie Krasickiego dopiero après la lettre, nigdy przed tym i w wielkiej mierze sprawiło, że mamy Sienkiewicza zamiast Stendhala, Żeromskiego a nie Balzaka, Marynie Połaniecką w braku Emmy Bovary, szklane domy i rozdarte sosny w miejsce trzeźwych konsekwentnych kształtów wielkiej prozy europejskiej, skłonność do stylizacji mglistych sprzeczną z równowagą języka nazywającego rzeczy; przede wszystkim wreszcie: ową łatwość w ukazywaniu świata jako swej tajemnicy osobistej, nie materialnej, poza rozumowej — wbrew niewzruszalnej podstawie realistycznej tworzenia: wierze w poznawalność i jednoznaczność bytu.

Realizm miałby więc w Polsce nieliczne antenaty, ale ci, którzy istnieli, mogą dziś służyć jako wzory najwyższej jakości. Prus jasno widział żmudną prawdę polską i dał jej wyraz w „Placówce” nie chwytając się mitu. Bohaterstwo Ślimaka nie traci ałuzją do ofiar mistycznych, nie sugeruje nic ponad to, co było lub być mogło nad każdą polską rzeką czy pod każdym lasem. To widzenie rzeczy nie zaraża mgłą sentymentalną, nie pobudza metafizyki u maluczkich; przedstawia mozoł w walce o czarną ziemię i daje sąd etyczny o rzeczy przedstawionej. Kto chce tu znaleźć Polskę, znajdzie ją — ale znajdzie również twarde wobec niej obowiązki i mało ozdobny trud. Postawa artystyczna jest tu koniecznym wynikiem postawy wobec świata; prawdziwe widzenie rzeczy musi dać prawdę o niej. Prus widział rozumnie prawdę polską i opisał Ślimaka. Oto realizm polski.

We wzorach nie należy szukać recept, ale kierunków. Realizm „Placówki” czy „Lalki” był realizmem Prusa. Być może, iż nie ma jednego realizmu, jest ich zapewne tyle, ilu realistów, albowiem każdy czyni w świecie własny wybór i selekcję, tworzy kompozycję i hierarchie elementów wybranych, określając się tym doborem jako indywidualna egzystencja twórcza. W klasyfikacji zjawisk artystycznych, a zwłaszcza w ocenie ich według kategorii teoretycznych ustalonych, należy zachowywać oględność najdalej idącą, respektować wewnętrzną różnorodność dzieła i prawa zawartego w nim świata. Dlatego narzucanie lub zaprzeczanie praw do jakiegokolwiek tematyki jest błędem nawet w ramach twórczości realistycznej. Antyk czy średniowiecze, Hiszpania świętej inkwizycji czy Żydzi w niewoli egipskiej mogą dać lepsze tło fabularne dla grozy Oświęcimia czy Dachau i losów ich ofiar niż sam Oświęcim lub Dachau; zagadnienia śmierci, nienawiści, honoru i wierności, problem człowieka w światłach rozstrzygnięć ostatecznych mogą znaleźć rozwiązanie w obrazach najbardziej odległych równie przenikliwie i sumiennie, jak w tematyce historycznej najbliższej, źródłowej dla myśli utworu.

Ale, i to jest jednym z celów powyższej próby rozważań, pozostawiając narracji o świecie realnym swobodę w wyborze elementów, tematów i środków, nie należy się zrzekać uprawnień i nadziei, które literatura naszego pokolenia powinna spełnić. Człowiek,

NOMINACJA LEONA KRUCZKOWSKIEGO



Leon Kruczkowski został powołany na stanowisko wiceministra kultury i sztuki

którego pamięć zachowała obrazy podważające system wartości kapitalnych, oczekuje nie tylko wyjaśnień, interpretacji, komentarza — ale i osądu. Twórczość pisarska nadchodzących czasów nie może się ograniczyć do artystycznego ukazania zjawisk, musi je wartościować i w ostatecznym wniosku określić swój stosunek do rzeczy przedstawionej. Naczelnym obowiązkiem epoki pokoju będzie rekonstrukcja hierarchii dóbr moralnych, zwalonych przez inwazję nihilizmu, oparcie jej na nowym układzie form i treści społecznych, który zapewni im trwałość. Pisarz przedstawiając świat musi na nowo weń uwierzyć, jeśli poprzednio zwątpił. Potworna tępota moralna najeźdźców Europy mogłaby znaleźć łagodną analogię w łonie narodów podbitych. Nijeden pisarz wie o tym, nijeden dostrzeże ją w sobie, nijeden nie wie i nie dostrzeże nigdy. Ktokolwiek by zechciał rozważać ów powolny zanik rozróżnień moralnych w oderwaniu od tła rozkładu wygasłych treści społecznych, dałby próbkę rozumu, który na miejsce przyczyn podstawia objawy. Ktokolwiek z pisarzy zapomni o swej misji wskazywania dobra i zła, odróżniania fałszu i podłości od przyjaźni i pomocy, ktokolwiek uzna się za zwolnionego ze służby etycznej w sztuce, ktokolwiek wreszcie nie zechce czuwać nad czystością własnych zamiarów i czynów, ten wykreśli się na zawsze z cyklu przewodników myśli ludzkiej spisanej dla człowieka. Najcięższy kunszt pisarski nie okupi obojętności twórcy w walce z oszustwem i fałszem, jak nie okupił odstępstwa Gide'a i Montherlanta, którzy zrozumieli wszystko z własną zdradą włącznie i wszystko sobie i innym umieli wybaczyć. W największych zmaganiach o pisane i nie pisane prawa ludzkie w dziejach nie ma odstępstwa od sprawy człowieka. W epce największego tryumfu współpracy nad nienawiścią, który będzie misją naszego pokolenia — nie ma odstępstwa od sprawy całości. Człowiek w opowieści czasów nowych musi być ukazany w ostrym świetle oceny etycznej, której kryterium i instancją wyłączną będzie dobro zbiorowe. Dlatego musimy nieraz wbrew wpojonym nam gustom uznać wrogosć integralnego psychologizmu, który tłumaczając wszystko — wszystko umię przebaczyć. Realizm nie wyrzeka się psychologii jako instrumentu poznania, czerpie z jej rezerwy, gdyż nie mógłby ich pominać w obrazie czynów ludzkich, które opisuje. Ale musi się od niej odzegnać, jako wiedzy o człowieku wyłącznej, samotnej i samowystarczającej. Realizm, jakiego pragniemy, sięga po wiedzę o człowieku po to, aby go osądzić sprawiedliwie w rozumnym zestawieniu dwóch światów: tego, w którym on żyje, z tym, który żyje w nim samym.

Oto realizm wsparty o prawdę człowieka i świata, wzbogacony w dawnych wędrówkach po manowcach tej prawdy, po mrocznych peryferiach i zaułkach rzeczywistości prawdziwej. Najteższą swą osnowę zawdzięcza dyscyplinie rzeczy poznawalnych; całym zasięgiem percepcji i potencją doznań zwrócony jest ku światu, spragniony jego przesłreni i czasu, rozległych płaszczyzn, dymów i wież, miłości i walki, narodzin i śmierci. Twórca układa w tym świecie dzieje ludzkie w kształtach zmierzonych w światło jego praw; czujnie śledzi kroki człowieka wśród ludzi, przykładając doń surową miarę sądów, którą dla siebie uznał za sumienie.

W poprzednim (30) numerze „Odrodzenia” z dnia 24 czerwca: Tadeusz Hołuj: Wiersze obozowe: Jak się nazywa ten ptak. Dzieciatko. Przełw otchłani. — Adam Łysakowski: Odbudowa bibliotek polskich. — Julian Krzyżanowski: Pamięć Romana Dyboskiego. — Tadeusz Breza: Upadek Frysa. — Karol Stromenger: Czy odbudujemy polską operę? — Tadeusz Kwiatkowski: Krytyka na cenzurowanym. — Zofia Nałkowska: Wezły życia (18). — Artur Sandauer: Zawile. — Józef Widajewicz: Niemcy o początkach państwowości polskiej. — Zofia Drożdż: Psalmicha. — A. Rubakin: W okupowanej Francji. — Radio. — W oczach pisarzy. Ankleta „Odrodzenia”. Odpowiedź Kazimierza Czachowskiego. — Kazimierz Wyka: Poślanie z Kazachstanu. — Juliusz Kydryński: Teatr lalki i aktora. — (Kb.): Przegląd prasy. — Dzieła sztuki polskiej. — Tytus Czyżewski: Kobieta z wachlarzem (reprodukcja). — Kronika zagraniczna. — Kalendarz kulturalny. — Polska za granicą. — 3 listy stracie. — 8 stron.

KAZIMIERZ OLSZEWSKI

## Głód\*)

Nieć pełził prawie, czepiając się ścian domów i sztachet niby pnące winnej latorośli. Nogi pod nim trzęsły się i chwiały, tak że chwilami ulegał złudzeniu, że ktoś wymienił mu kości na sprężyny. Głowa jego kręciła się opadając coraz niżej na piersi lub kładąc się na wychudłe ramiona, ręce dygotały, a chude, patykowate palce straciły czucie, ciałem wstrząsały dreszcze. Zupełnie tak, jakby kto oblewał korpus wrzątkiem, a później wodą z cebra, w której jeszcze pływają kawałki miękkiego lodu.

Stefan był głodny.

Dawno nic nie jadł. Już nie pamiętał, kiedy miał coś ciepłego w ustach. Po śmierci Kamińskiego, gdy niemoc cisnęła go w łóżko, stracił rachubę czasu, nie umiał również odwrócić w pamięci ubogiego w przeżycia okresu. Wiedział tylko, że leżał jakby w wannie, gdzie hutnicy przetapiają szkło, a gdy odzyskał przytomność, zaraz uświadomił sobie, że jest głodny, tak głodny, że z bólu gryzł suche patyki czy kawałki papieru, które leżały w pobliżu łóżka. Później jednak nowa fala gorączki ścierała z duszy resztki świadomości, spalała na popiół pożądania, pragnienia i sny. Nieć przekształcił się w wielki, w schorowanej wyobraźni rozpalony do białości żelazny blok, dziwny jednak o tyle i tajemniczą moc posiadający, że od niego nie zajmowała się pościel ni śłoma w sienniku. Gdy gorączka osłabła, Niećowi zdawało się, że razem z łóżkiem, pokojem pani Sreniawskiej, całym domem pędził gdzieś w ciemną przepaść, której dna nie widział. Wokół kłębiły się i przewalały kłócąc się z sobą ogromne języki ognia, jakieś słupy ogniaste, a choć Stefan spadał coraz głębiej, coraz niżej, znikąd nie zjawiał zefirek ani nie zadął wicher. W pewnym jednak momencie piekielna jazda nagle się kończyła, Nieć tracił przytomność, a gdy ją odzyskiwał, ze zdumieniem i nieufnością oglądał te same wypłowiałe już tapety, poznawał sylwety pań w krynolinach i postaci panów w czamarach, kontuszach i przy karabelach, którzy niemi jak ich dzieje, szeregami zdołali ściany pokoju pani Sreniawskiej.

Chłód przejmujący przywracał mu przytomność, tuż za nią ukazywał się cień głodu. To było najcięższe przeżycie. Stefan chciał krzyczeć na stróża, prosić choćby o obierzynę z ziemniaków, byleby tylko były trochę owarzone, z solą lub bez, lecz głos jego cichy, beznadziejny, tonął w czterech ścianach pokoju i antycznych meblach. Na próżno walczył z sobą, na próżno usiłował zapomnieć o tym, że kiedyś jadał. Gdzie spojrzeć, wszędzie widział potrawy i napoje. Talerz, brudny już, wyszczerbiony i stary, gdy nań spoczął spojrzeniem, grubiał w oczach, zmieniał barwę, nabierał zapachu i szybko przekształcał się w bochen świeżutkiego, pszennego chleba. Bochenek, jak frywolny bąk, zaczął kręcić się po stoliku i stoczywszy się na podłogę, pędził do Niecia, lecz ten daremnie wyciągał do niego rękę. Wysunięta spod kołdry, chuda jak szcypa, kościasta dłoń odpychała chleb, który odczołwiał się nieco dalej, zaczynał hałas, gdy tylko ręka znowu schowała się pod kołdrę. Nieć bronił się dalej, a choć zamykał oczy, widział bochenek, czuł jego zapach, słyszał niemal szuranie skórki po podłodze. Nie dość na tym. Gdy gorączka zaczęła się wzmacniać, niebieski garnek, w którym nieboszczyk gotował zupę, przekształcał się w wonną babę, zaś pasek od spodni, leżący spokojnie na podłodze, przybierał postać kielbasy i niby wąż sunął w stronę Niecia. Po kilku minutach w pokoju wszystko stawało się pożywieniem. Sprzęty, odzież, nawet ściany, nawet poważni antenaci z rekwiizytami przeszłości i zamarymami echami tego, co nie wróci już nigdy. Potrawy waliły się na stosy, mieszały z sobą, drażniły ponownie i niemal prosiły Niecia, by je spożył, lecz chory, trawiony gorączką, bezsilny, w rozpaczliwej męce czuł na ciele urojone więzy. Stefan niemal że tonął we własnym pocie, zgrzytał, wyciągał do płuc powietrze, lecz liny były mocniejsze od jego zwiotczałych już mięśni, silniejsze od stalowych nici. Nie puszczały.

Zwykle po bezcelowej walce Nieć tracił przytomność i zapadał w niespokojny sen. Ale i wówczas śnił tylko o chlebie, świeżych ziemniakach, o słodkiej kawie.

Wreszcie przesilenie minęło i któregoś dnia Stefan odzyskał zupełnie przytomność. Był akurat marcowy poranek, lecz nic nie zwisało nadchodzącą wiosną. Zimno było jak w styczniu czy w lutym, a na upiękuszonych lodowymi płaskorzeźbami oknach zjawiały się i znikały duże cienie, symptomy przącego na dworze śniegu. Ale Stefan niewiele widział. Pod czaszką kołatała tylko jedna myśl. Zdobyć pożywienie. Chleb, mięso, garść owoców. Wszystko jedno co, byleby można zapchać usta, nasycić brzuch.

Choroba zżarła mu siły, wypruła z mięśni elastyczność i tężyznę, a gdy ujął w dłonie spodnie, zdawało mu się, że są stalowym dziełem Wulkana, marynarka zaś przypominała ciężarem strój nurka. Jednak jakoś wciągnął na siebie odzienię i wsunął w niego głowę czapkę, przekroczył próg mieszkania. Na schodach, gdy otworzył drzwi, cofnął się w głąb

przedpokoju, gdyż pęd świeżego powietrza uderzył weń niby deską. Dopiero po chwili ruszył na dół trzymając się kurczowo poręczy.

Na podwórku nie było nikogo, tylko z suterenu, gdzie pracował szewc, dochodził stuk kilku młotków. Widocznie mistrz przyjął nowych pracowników.

Nieć szedł bez celu. Bo i dokąd iść? Przed siebie, na los szczęścia. Może jednak...

Po kwadransie przypomniał sobie, że jakieś zakonnice wydają niekiedy gorące potrawy, lecz żądają za nie zapłaty. A może pokusić się szczęście i zastukać do ich furty? Odmówią, nie odmówią...

Suchy kaszel zatrzymał go akurat przed wystawą skromnej mleczarenki. W oknie leżało kilka bułeczek, w pobliżu nich stał kartonik ze sproszkowanym mlekiem.

— Oj! — syknął Nieć. — Bułki, bułeczki, bułeczki!

Wpił się palcami w zimną ceglana ścianę i przytknął twarz do zamrażającej szyby. Oczy jego rozszerzyły się, szczerka zaczęła latać, tak że słychać było nieskoordynowane zgrzytanie zębów.

— Buł-ka! Buł-ka!

Coś pchało go z tyłu, chciało rzucić na szybę, prawa dłoń kulaczyła się sama, by przybrać postać narzędzia, służącego do miażdżenia przeszkód, dzielących człowieka od pożywienia, lecz w Nieciu drzemały jeszcze dawne hamulce. Cofnął się i przygryzł wargi. Oczy mu powilgotniały. Próbował iść dalej.

Nie widział ciekawych spojrzeń obojętnych przechodniów, nie zauważył steranego życiem robotnika, dźwigającego pełny kosz chleba. Szedł dalej związując nadzieję, że przebiegnie coś mu dadzą, że dziś się naje, naje po uszy.

A miasto żyło jak dawniej. Może tylko we wszystkich kierunkach pędziło więcej aut, może u poddaszy zwisało więcej chorągwi ze swastykami, a na sztydach zjawiało się coraz więcej napisów. Ale i tego Nieć nie widział, za to spostrzegał wszędzie żywność: chleb, mięso, kielbasę.

Niedługo zresztą droga znużyła Stefana. Nieprzytomny niemal usiadł na stojącym tuż przy krawężniku pudle na śmieci, których prawie nie wywożono. Czuł tylko, wzmożone bicie tętna i coraz dokuczliwsze działanie chłodu. Opuścił głowę na piersi. Odpoczywał.

Po kwadransie podniósł się i ruszył dalej. Jeszcze tylko dwie ulice, boczny zaułek, pasaż, wielkie cuchnące podwórze, suterena, do której wiodą spadziste, kamienne schodki i przestronna, niska, o kapiącym od brudu i pajęczyn pułapie sala, gdzie ciche mniszki wydają obiady.

Podniecony nadzieją bliskiego posiłku, Nieć jakoś zwałwiej poruszał nogami. Śnieg przestał padać, nawet i słońce zaczęło mocniej przygrzewać, gdy skręcał w boczną uliczkę. Stefan bał się spóźnić, to też wyzwał za siebie resztki sił, byle tylko jak najprędzej dostać się do jadłodajni. Nie widział przechodniów, nie słyszał ulicznej wrzawy, jednak zatrzymał go w miejscu znajomy głos.

— Nieć!

Stefan obejrzał się.

Przed nim stał młody, krzykliwie ubrany mężczyzna. Spód zimowego kapelusza uśmiechały się sprytno, może przestępcze nieco oczy, uśmiech zaś, beztroski, frywolny, krasiał starannie wygoloną twarz, w ruchach zaś i postawie miał coś ze zbyt szybko awansowanego dziecka ryszotka.

— Z kim mam przyjemność? — pytał Nieć tracąc czoło. — Zdaje mi się, że kiedyś, może to i niezbyt było dawno, znaliśmy się. Ale kiedy to było? Przed wojną? Nie, chyba nie!

Młody człowiek zaśmiał się głośno i wyciągnął do Niecia dłoń.

— Chodź stary! Później przypomnisz sobie wszystko dokładnie. Ale dlaczego jesteś taki błądy? Toś przecie lepiej wyglądał w Zamościu!

Stefanowi jakby błyskawica rozświetliła świadomość. Teraz dopiero zdobył się na tak ogromny wysiłek fizyczny, że ściskając ponownie dłoń starego znajomego poczuł spływające mu po palcach i skroni krople potu.

— To ty? — szeptał zdumiony.

I zachwiał się. Byłby upadł, lecz mężczyzna podtrzymał go krzepką dłonią.

Elegant stracił pewność siebie i tupet, ironiczny uśmiech w czarnych oczach zgasł jak świeczka musnięta wiatrem, usta zwięzły się widocznie, a u nasady nosa zjawiały się wyraźne wachlarzyki zmarszczek.

— Nieć, mów, co z tobą?

— Ale Stefan milczał, choć każda tkanka jego ciała zdawała się krzyczeć całą mocą instynktu samozachowawczego: jeść, jeść!

— Choryś, czy co? — pytał wzruszonym głosem mężczyzna. — Może wstąpimy do apteki?

— Tak jakoś zrobiło mi się słabo... — bronił się niezręcznie Nieć. Mężczyzna ujął go mocno pod ramię i rzekł:

— Chodź ze mną! Wejdziemy do szynku. Tam ciepło i niezbyt tłoczno o tej porze.

Stefan mechanicznie stawiał kroki... Raz, dwa, lewa, prawa. I znowu to samo. Stopy latały w butach, jak małe pistolety w wielkich ostrach, a głowa biegła: w prawo, w lewo. Zależnie od ruchu nogi. Nie czuł radości ze spotkania. Przecież mniszki lada moment zamkną kuchnię lub odprawią go

sprzed progu jednym krótkim powiedzeniem: Za późno!

— W karczmie opowiesz mi swoje dzieje — mówił elegant. — Szmat czasu upłynął od naszego powrotu z Zamościa.

Dobrze! Wreszcie do wąskich drzwi szynku zapraszającego przechodniów do wejścia pękata reklamową flaszką i jakimś jędrnym napisem. Gdy mężczyzna nacisnął klamkę, odepchnął ich od drzwi taran zgęszczonej pary, stęchłego powietrza, zapach rozlanego piwa i ostro woń ludzkiego potu. Choć na dworze było zupełnie widno, tu panował ciężki półmrok, zągęszczony dość silnie przez cienie suwających się po brudnej podłodze podchmielonych gości i chichoczących bez potrzeby kelnerek. W oczach Niecia mignęła jeszcze zza szynkwasu dyniowata twarz gospodarza, pocentkowana czerwonymi plamami, wgrzyżającymi się aż pod tłuszczowe podszeczki, z których wyzierały na świat chwie świńskie oczka.

— O, tu jest wolne miejsce! — rzekł mężczyzna i posadził Stefana przy ścianie, a później pomógł mu zdjąć czapkę i dopiąć haftki u kołnierza.

— Dziękuję ci — szeptał głodny — dziękuję.

— Napijemy się? — spytał elegant.

— Nie, nie mogę! — wykrztusił Stefan.

— Zbabiałeś, czy co?

— E, nie! To tylko zmęczenie.

Kelnerka przebiegła w pobliżu niosąc na talerzu pokrajane śledzie oraz bułeczki z szynką i kielbasą. Stojące na tej samej tacy kieliszki z wódką nachylały się w biegu i ronili krople płynu na śledzie i pieczywo. Nieciowi zakręciło się w głowie, a w ustach poczuł bardzo słony smak śledzia oraz miłe lechtanie delikatnego tłuszczu szynki i chrupanie świeżej przypieczonej bułki. Mimowoli podniósł się i półprzytomny wykrztusił:

— Mnie też!

Dziewczyna nie obejrzała się nawet. Zajęta swymi podochoconymi klientami wracała szybko do nich, obawiając się, by beczynna w tej chwili koleżanka nie zajęła jej miejsca przy stoliku.

Nieciowi twarz zatonęła w purpurze, a wewnątrz zdawało mu się, że na jego głowę spłynął deszcz roztopionego metalu. Chciałby ukryć się ze wstydu pod stół, wwiercić się w ziemię, byle tylko nikt spośród tych wielu przechodniów nie patrzył na niego, na człowieka głodnego, zezwierzęconego.

Jego towarzysz jakoś niepewnie bębnił palcami po krawędzi stołu, unikał też widocznie wzroku Niecia. Na nieświadomy okrzyk zareagował tylko lekkim ruchem ramion, a gdy Stefan opuścił głowę, ruszył do szynkarza i zamówił coś do zjedzenia. Wróciwszy do stolika, ujrzał kolegę usiłującego przybrać maskę obojętności i pewnego znużenia. Nieć siłą się na zupełny spokój, spytał:

— Jak się właściwie nazywasz?

Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie.

— E, lepiej będzie, gdy nie poznasz mego nazwiska. Co ono ci zresztą powie? Nic.

Do szynku wniesiono z kuchni świeże potrawy, których zapach oszołomił na chwilę Niecia. Głodny poderwał się, by podbiec do szynkarza, wyrwać talerze z rąk opasłego chłopca i jednym ruchem naczyń wsunąć w otwarte usta jarzyny z mięsem, wlać zupę, a później dolożyć jeszcze cały ten stosik cienko pokrajanego chleba, na którym osiada kurz karczmy. Ale znowu się powstrzymał. Tylko dalsze przebywanie w szynku stawało się coraz większą męką. Na widok każdego kęsa pożywienia ciałem wstrząsały dreszcze, język kołował, a wargi jakby zamieniały się w olów. Gdyby siły nie zawiodły, Stefan boczny wyjściem uciekłby na ulicę i już by tu nigdy nie wrócił. Po drodze jednak niby przypadkiem zrzucił na podłogę zawartość talerzyka, a później zbierając rozsypane kanapki wsunąłby nieznacznie do ust jakiś strzęp szynki, talarek kielbasy, lub okruch chleba.

Tymczasem znajomy z Zamościa spojrzął na szynkarza, a później zwróciwszy się do Niecia rzekł:

— Możesz mówić do mnie Feluś, zgoda?

Szynkarz zaczął poruszać się zważwie i nakroiwszy zresztą sporo świeżego chleba, układał na równych kromkach kawałki kielbasy, szynki, śledzi i ogórków. Robił to zresztą przytupując do taktu nogą, a jego tonące w tłuszczu oczka płonęły iskrami radości. Ledwie usadowił ostatnią kromkę na szczyście piramidy, którą jeszcze ze znużeniem upiękarszył połówką jajka, jedna z dziewcząt tanecznym krokiem podpięła do szynkwasu i zwałow przebiegłszy kilka kroków, wdzięcznym ruchem postawiła talerzyk na stoliku, przy którym siedział Nieć z towarzyszem.

Feliks przesunął talerzyk w stronę Stefana.

— Poczęstuj się — rzekł.

Nieć nie spostrzegł różnicy w zachowaniu się Feliksa, który jeszcze przed czterema miesiącami takie odezwanie się wydrwiłby wulgarnym słowem, lecz niby wahając się, ściągnął z wierzchołka piramidy chleb z szynką i połówką jajka, a choć piersi niby młot rozsadała mu radość, że nareszcie coś zje, położył chleb na wyszczerbionym i niezbyt czystym talerzyku, by w ten sposób zadokumentować, że nie jest jeszcze zbyt głodny.

Feliks chrząknął i wpił duże, mocne i zdrowe zęby w złożoną we dwoje kromkę.

— Spiesz się! — rzekł.

Gdy Nieć wsunął chleb do ust, łyż zaskliły mu się w oczach. Nareszcie coś zje! I to jeszcze chleb z jajkiem i kawałkiem szynki.

Odwykłymi od jada zębami oderwał ka-

walek chleba i chciał go połknąć, lecz już siły woli nie stało. Mięśnie same, wymknąwszy się spod władzy człowieczej woli, porwały kęs za kęsem i wpychały do przełyku. Nieć nie spostrzegł nawet, że sam prawie zjadł nagromadzone kanapki, bo Feliks był tylko niemym świadkiem sceny gwałtownego pożywiania się. Gdyby nadludzka jakaś moc przekształciła wyszynk ze wszystkimi rekwiizytami i pijanymi już gośćmi w potrawę, Nieć był święcie przekonany, że zjadłby wszystko i jeszcze wybiegłby na ulicę głodny. Teraz, gdy żołądek przypomniał sobie o swym istnieniu, chciałby wchłonąć wszystko, dosłownie wszystko. I ten koślawy stolik z wyszczerbionym blatem i tę beczkowatą dziewczynę, i tego zadolowanego jak nażarty wieprz szynkarza. Jeśli by zaś tego nie stało, Nieć wpiłby się młodymi zębami w ścianę i odrywając płatami mur, jadłby go, chłonał, żarł. Bez końca, bez wycoczynku. Ale już brakło chleba, brakło wędliny. A może schrupać ten szczerbaty talerzyk?

Każdy kawałek zjedzonego chleba budził uśpione w ciele siły, które wdzierają się do żył, a miłe ciepło rozpała zimną, skrzepłą już niemal krew, ta zaś roznosi życie po całym organizmie, rozsada zasklepienie i ospałe komórki mózgu, niby nieprzeliczone źródła w krasowej krainie, atakuje od wewnątrz czerrep czaszki, która zda się trzeszczeć, lecz spoidła nie pozwalają kościom rozlecieć się w kawałki. Nieć czuje tylko, że skądś wypływają coraz liczniejsze strumienie potu, który leje się ze skroni, czoła, snuje się strugami po piersi, brzuchu, plecach, udach, goleniach, tak, że dziurawe skarpetki zdają się być zanurzone w bagnie. Och, jak mu gorąco, jakby go kto cisnął w kadełko pełną roztopionego żelaza. Chce odepchnąć od siebie fale żaru, pragnie wy dostać się z tego zaczarowanego — otoczonego żarzącym się, kapiącym wszędzie ognistymi kroplami metalem — koła, by jak miech wciągnąć w siebie, ile się tylko da, świeżego powietrza, lecz ręce, nogi, głowa, cały tułów stały się same żelaznymi kłodami, którymi nie może poruszyć, choć szarpie się, wysiła, wygina w łuk grzbięt, napręża łydki. Nie ujdzie ni kroku, ni milimetra, bo stołek, na którym siedział, przemienił się w olbrzymi, złośliwy magnes i nie puszcza go. Wysiłek łamie Niecia, odbiera mu resztki sił, żar popielił świadomość...

Gdy Nieć otworzył oczy, ujrzał nad sobą obojętną twarz starszego już pana w lekarskim chałacie, wokół zaś czuł zapach różnych lekarstw, ziół i kwasów. W pobliżu kanapy, na której leżał, stało kilka milczących osób, spośród których zwracał uwagę olbrzymią twarzą bezduszny szynkarz, szepczący coś do ucha Feliksowi, również zaniepokojonemu. Reszta ciekawych to przygodni klienci apteki, do której przeniesiono Niecia w chwilę po omdleniu. Niektórych nawet już zużyło widowisko, gdyż dyskretnie spoglądali na zegarki, jakby pragnąc przekonać się, ile cennego czasu ze swego życia poświęcili dla tego nieznanego dziecka wojny.

— Teraz trzeba go zabrać do mieszkania — mówił aptekarz głośno sapiąc. — Od wielu dni nic nie jadł, więc nie dziw się wcale, że kilka kromek dokonało takiego wstrząsu.

— Biedny, jaki on biedny! — westchnęła starszka w żalobie. — Pewnie i on jest wysiedlony. Tak, jak i my. A proszę państwa... My pochodzimy z bardzo starego rodu, którego przodek przywędrował do Polski ze świętym Wojciechem. Przez tysiąc lat siedzieliśmy w Borach Tucholskich. Niewielki był dwór, to prawda, lecz własny. A dziś nas wypędzono stamtąd. Teraz tułamy się i czekamy na koniec wojny.

Ktoś westchnął, ktoś inny uśmiechnął się wyrozumiiałe, a najuczciwiejszy spośród publiczności pomógł Feliksowi wyprowadzić Niecia.

## Kronika kulturalna ZSRR

Lenin w teatrze i kinie. Postać Lenina była wielokrotnie przedstawiana w radzieckich utworach scenicznych i filmowych. Znane są utwory dramatyczne „Człowiek z karabinem”, „Kremlofskie kuranty”, „Prawda”, „Na brzegach Nowy”, oraz filmy „Lenin w październiku”, „Lenin w 1918 roku”, „Wielkie zarzewie”, „Dzielnica wyborowska”, „Trzy pieśni o Leninie”. Rola Lenina wykonywali m. in. Iacy wybitni aktorzy, jak B. Szczukin, M. Strauch, A. Gribow, J. Szczerbakow, A. Olenin, A. Sofronow i A. Buczma.

Nowe prace historyczno-literackie i językoznawcze. Instytut Literatury Akademii Nauk ZSRR przygotowuje dziedzielną „Historię literatury rosyjskiej”. Gotowy jest do druku tom VI, poświęcony Puszkiniowi, pisarstwo jego okresu i literaturę związaną z dekabrystami. Trwa praca nad historią krytyki rosyjskiej. Inny zespół uczonych przygotowuje pierwsze pełne opracowanie folkloru rosyjskiego. Instytut Literatury Światowej im. M. Gorkiego kończy prace nad wpływem Lwa Tołstoja na literaturę zachodnio-europejską. Prof. B. Michajłowski zamuje się badaniem poglądów M. Gorkiego na rosyjską twórczość klasyczną, twórczość ludową i twórczość pisarzy współczesnych. N. Dierżawin przygotował do druku „Wstęp do filologii słowiańskiej”. Instytut Języka Rosyjskiego prowadził prace nad piętnastotomowym słownikiem współczesnego języka rosyjskiego; tom pierwszy znajduje się już w druku. Pod redakcją prof. S. Obnorskiego powstaje „Słownik języka starorusyjskiego” w 10–12 tomach; obejmie on po raz pierwszy rosyjską leksykę średniowiecza. Tom pierwszy, liczący 100 arkuszy, będzie gotowy już w 1945 r. Wraz ze słownikiem współczesnego języka rosyjskiego przedstawi on bogactwo języka rosyjskiego od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego. Pod kierownictwem prof. W. Aleksiejewa stodoły rosyjskiej pracują od wielu lat nad wielotomowym „Słownikiem etno-rosyjskim”. Słownik ten będzie wydarzeniem naukowym dużej wagi.

Dziewięć milionów — taki jest ogólny nakład wszystkich książek W. Majakowskiego wydanych w ZSRR w 44 językach narodów radzieckich. Poszczególne utwory Majakowskiego tłumaczono w ponad 20 krajach. Odbudowa teatrów. W oswoobodzonych rejonach ZSRR przystąpiły do pracy wszystkie teatry będące na emigracji. Na Ukrainie daje przedstawienia 105 odbudowanych i nowootwartych teatrów. Do końca b. r. powstanie jeszcze 27 teatrów, przeważnie wiejskich. W miastach białoruskich pracuje 11 teatrów. W ciągu najbliższych trzech lat w Związku Radzieckim ma powstać 130 nowych teatrów. W Stalingradzie rozpoczęły działalność 2 teatry.

\*) Z powieści „Dni bez uśmiechu”.

WADEUSZ HOŁUJ

# Druga prawda o Oświęcimiu

Towarzyszom padłym w walce z terrorem hitlerowskim w Oświęcimiu.

Towarzyszu, list ten Cię już nie dojdzie. Zginąłeś na szubienicy, przed śmiercią jeszcze krzyżując w zmartwiałym tłumie więźniów ukochaną wolność. Do Ciebie i do całej gromady, rozproszonej dziś po całym świecie, kieruję mój list.

Nieprawdą jest to, co piszą teraz o Oświęcimiu, nieprawdą jest ten ponury dzień nasz, rozrywany na strzępy wspomnień, na grozę poszczególnych faktów, na martwe cyfry. Wiedzą już wszyscy, znają dobrze straszne lata nasze, jak o krok od śmierci pędził życie więźniów.

Kiedy wspomnę tych, którzy padli, myśleć muszę o tej drugiej prawdzie naszej — o walce. Nieprawdą jest bowiem, jakoby obóz w trwodze i strachu żyjąc, nie przeciwstawiał się, nie walczył.

Towarzyszu, ty, który padłeś i ty, który żyjesz teraz w Polsce, Austrii, Francji, czy Grecji — słuchaj.

Obóz w Oświęcimiu był początkowo obozem wyniszczenia narodu polskiego, co wpływało na rodzaj i nasilenie terrozu niemieckiego, co specyfikowało metody postępowania wobec masy więźniów polskich, a potem i innych narodowości. Ta masa Polaków natrafiła więc na największe, obłędne wprost nasilenie prześladowań, ponosząc najwięcej ofiar i to w swoich najlepszych przedstawicielach. Terror i nędza szalały po obozie. Wypaczały one niejednokrotnie charaktery słabsze politycznie, upadające w walce o kawałek chleba, o nadzieję przetrwania. Bandyci niemieccy spod znaku „zielonego trójkąta” rządziли nami, katownia Politische Abteilung nasyłała na nas gromady prowokatorów i szpicli, dziedziniec 11 bloku spływał obficie krwią, a karna kompania stała się potworną męczarnią setek najaktywniejszych więźniów.

Już wówczas, nieśmiało, grupy polityczne więźniów skupiały się poczęły wokół swych przedwojennych przywódców, wokół swych kierowników z okresu okupacji i walki podziemnej. Troska i groza biły z tych pierwszych rozmów, kiedy z szeregów więźniów politycznych dzień po dniu ubywały najlepsze jednostki, odchodząc na miejsce kaźni. Wielka tęsknota za wolnością i uparta, nieprzezwyciężona nadzieja trzymała resztę przy życiu, kiedy gromady więźniów rzucały się na drużyny, kiedy trupy samobójców siałą grozę, a pokoje w Politische Abteilung pełne były torturowanych na śmierć mężczyzn i kobiet.

Głód, bezsilność, beznadziejność, nie zalały jednak wszystkich. Obóz chłonał w siebie coraz to nowe rzesze więźniów, zmieniał się jego narodowościowy skład i charakter. Terror jednak raz nastawiony na wyniszczenie nie słabł, przeciwnie wzmagał się wprost proporcjonalnie do zwycięstw niemieckich na dalekich frontach.

Towarzyszu, ile gorczy i bólu, kiedy drżąca ze wzruszenia ręka kreśliła na mapie cofające się fronty!

W tym najgorszym psychicznie okresie zawiązały się pierwsze grupy konspiracyjne, celem walki z terrorem hitlerowskim. Grupy te nie pracując jeszcze zwarcie, próbowały nawiązać kontakt z krajem i kontakty tego rodzaju rozbudować tak, aby obóz związać z pracą konspiracyjną w Polsce.

Towarzyszu, kiedy zesłaliśmy się raz pierwszy w ciemnej piwnicznej bloku, czterech zapaleńców gotowych na wszystko, czterech mężczyzn, których rodzina tamta wojna, pierwszą naszą troską była Polska, na której ziemi leżał obóz.

Aktyw nasz, załazek późniejszej „Grupy Oświęcim”, składał się z czterech tylko ludzi: Adama, Wiktora, Rota i Roberta. Za cel postawiliśmy sobie walkę z przemocą i uciśnieniem w obozie, poprzez wyrobienie solidarnej postawy wszystkich więźniów, zorganizowanie wszystkich elementów demokratycznych obozu, pracę polityczną i uaktywnienie olbrzymiej, bezwładnej masy mieszkających w obozie, w szczególności oświęcimskich. Pierwszym warunkiem naszej pracy było uzyskanie solidarności.

Skład obozu był wówczas następujący: większość stanowili Polacy, posiadający w swych rękach szereg najważniejszych placówek i dający największy procent inteligencji, drugą poważną grupą narodowościową byli Rosjanie, składający się z elementu niezorganizowanego, wywołanego na roboty do Niemiec, Czesi stanowili grupę dość liczną i zwartą, Francuzi tkwili w „komandach” technicznych, Żydzi wszystkich narodowości najbliższą stykającą się z terrorem, byli upośledzona warstwa obozu. Pomiedzy tymi narodowościami nie było żadnej współpracy, a rodzimy antysemityzm nawet tu święcił tryumfy. Naszym zadaniem było wyrobienie solidarnej, wspólnej postawy więźniów wobec przestępców i ślepiaczy hitlerowskich w mundurach SS i w pasiakach, wobec całej polityki kierownictwa obozu, jak również wobec zjawisk ogólnopolitycznych. Do tego potrzebny był aparat organizacyjny, ludzie odważni, czujni i prawi.

Aktyw nasz, połączywszy szereg grup narodowościowych, zbudował organizację kadrową z aktywistów socjalistycznych i komu-

nistycznych, współpracując ze wszystkimi uczciwymi demokratami w obozie.

W niesłuchanie trudnych warunkach konspiracji „podwójnej”, po strychniach i piwnicach obozu toczyły się nasze narady. Propaganda współpracy wszystkich grup narodowych szła ciężko i opornie. Komórki nasze występowały solidarnie, tępiły miejscowe objawy szowinizmu, wiązały ze sobą ludzi różnych narodowości, funkcjonariusze wykuli w masie więźniów świadomość wspólnoty politycznej i trzeba powiedzieć, praca udawała się.

Każde zwycięstwo wzmacniało nas. Kiedy wyrobiliśmy już na „komandach” to poczucie wspólnego losu i obowiązku solidarnego postępowania, kiedy towarzysze nasi poczuli, że „coś się robi”, przystąpiliśmy do ataku na całej linii na Politische Abteilung, na gestapo i jego popleczników w obozie.

Przystąpiliśmy do akcji tej, mimo ciężkiej kłębki, jaka spotkała naszą grupę. W bunkrze 11 bloku siedziało kilku naszych najaktywniejszych towarzyszy, między innymi dwaj z naszego aktywu głównego.

Skazani na śmierć. Nie wierzyliśmy, że wróca do nas. Pamiętasz, towarzyszu? W słotne dni zimowe montowaliśmy robotę od nowa, zbierali, łączyli... Gorejące twoje oczy pochylały się nad piśmem, mózg szukał wyjścia z sytuacji, wyzwolenia.

W okresie poprzednim wysłaliśmy z obozu wiele materiałów na wolność, propaganda o obozie w Polsce i za granicą przybrała na sile, wzrosła do tego stopnia, że Himmler, chcąc zważyć odpowiedzialność za zbrodnie oświęcimskie na bezpośrednich wykonawców, przysłał nowego komendanta obozu. Pierwszym jego krokiem była amnestia dla skazanych na śmierć i siedzących w bunkrze więźniów.

Wieczór zimowy. Nagle rozchodzą się wieści: bunkier rozpuszczony! Na radość nie ma czasu. Trzeba zwycięstwo to wyzyskać jak najbardziej. Piszemy raport o prowokacjach Politische Abteilung, o terrorze, jaki się ją agenci. Raport ten wręcza komendantowi Rot. W rozmowie komendant zapewnia, że nie znieśli rządów Abteilung 2, a w interesie spokoju usunie z obozu prowokację. Prowokatorzy dowiedziawszy się, co im grozi, mobilizują Politische Abteilung, zaczyna się wewnętrzna walka pomiędzy władzami SS w obozie.

Wiktor pracujący jako sekretarz naczelnego lekarza SS, pozyskuje go dla „nowej polityki obozowej”. Fronty wewnętrzne obozu kształtują się coraz wyraźniej. Z jednej strony Politische Abteilung dufna w swą moc i terror, z drugiej strony komendant i naczelnik lekarz SS. W pierwszej rozgrywce Abteilung 2 kapituluje. Główni szpicle idą do transportów karnych, a pomniejsi agenci zastraszeni tą zmianą, po początkowej próbie rozgrywki, szukają gwałtownie kontaktów politycznych, zgłaszając swą współpracę.

Atmosfera oczyszcza się powoli, praca nasza nabiera może swobodniejszego oddechu. Martwe fronty ruszają, ołówki po mapach kreślą śmiałe linie.

Gestapowcy obozowi nie dali jednak za wygraną. O tym wiemy i nie zasypiamy. Wywiad nasz, pracujący z niebywałym poświęceniem, donosi o każdej ważnej rozmowie, w rękach naszych znajdują się wszystkie ważne papiery.

Dotychczasowe grupy narodowościowe łączymy w międzynarodowe, z uwzględnieniem podziału „terytorialnego”. Organizujemy następnie sabotaż na warsztatach, dochodzący do 40% produkcji. Placówki wojskowe niemieckie odsyłają zakładom obozowym z wrotem całe skrzynie materiału, jako nie nadające się do użycia. „Komanda” techniczne, najlepiej zorganizowane, dzięki swemu składowi proletariackiemu, pracują najzupełniej po naszej linii.

„Zielony” obóz czynimy obozem „czerwonym”. Systematycznie obsadzamy wszystkie stanowiska więźniami naszej grupy lub po prostu uczciwymi więźniami politycznymi. Najbardziej pomocni nam są w tej akcji towarzysze austriacy i niemieccy, starzy bojownicy, doświadczeni więźniowie. I tę akcję doprowadzamy do zwycięskiego końca.

Organizację naszą wzmacniamy operując już kilkudziesięcioma wytrawnymi działaczami kadrowymi. Aby zacieśnić więzy polityczne pomiędzy członkami „Grupy Oświęcim”, wzmagamy pracę polityczną, opartą o naszą deklarację ideową. Aktywna walka z faszystwami niemieckimi i rodzimymi, trwałą współpracą narodów kochających wolność, bezpośrednią walką o demokrację o jedności ruchów lewicowych w tej walce, były szkieletem deklaracji. Wypuszczamy szereg ulotek: o obowiązku walki produkcyjnej na warsztatach, o charakterze społecznym obecnej wojny, o solidarności, o Polsce wreszcie, o Wolnej, Niepodległej, o Polsce Przyszłości. Oddźwięk jest duży. Ścisła kontrola czytających świadczy, że setki więźniów ulotki te czytały i dyskutowały. A sytuacja nie jest prosta. Niejednokrotnie jesteśmy zmuszeni do walki politycznej z faszystowskimi czynnikami w obozie, stosunek do Związku Radzieckiego staje się problemem politycznym, to-

warzysze nasi prowokowani są przez niektóre elementy obozowe, zaczyna się nam grozić.

Łącznicy nasi i kurierki dostarczają nam materiał polityczny z kraju. Dostajemy między innymi instrukcję tworzenia Rad Narodowych, szereg broszur, podsłuch radiowy dopełnia naszych informacji.

Kraj woła o ludzi. Organizujemy ucieczki z obozu dla tych, co chcą z bronią w ręku urzeczywistnić swój sen o wolności. Potajemnie kryjówki są naszymi bazami wypadowymi, towarzysze nasi na wolności przygotowują punkty odbiorcze i drogi.

Pamiętasz te noce niespokojne, kiedy pierwsze partie gotowały się w drodze? Ludwik i Stefan? Obaj padli, Stefan w powstaniu warszawskim. Kostek, organizujący punkty nasze i bojówki w terenie, padł w akcji pomocy uciekającej grupie naszych towarzyszy. A Szymon, przez wiele miesięcy prowadzący akcję wśród Żydów, i Lucek. Są dziś i pracują. A partia Cygana! Z czterech, trzech posiekanych przez karabin maszynowy, czwarty ranny i wyczerpany, ukrywający się przeszło miesiąc w obozie, a raczej pod obozem, bo w podziemnym bunkrze liżący rany! A Marian i tyłu, tyłu innych, rwących się w las, do upragnionej broni...

Mysząc o walce w terenie, nie zapominamy o obozie. Wiktor, prowadzący „robotę legalną”, powstrzymuje wybiórki do gazu wielu setek, może tysięcy. Starszy obozu, Ludwik, zmienia oblicze Oświęcimia: sport, zawody, kino, usunięcie resztek „zielonych”. Stakło, cichy zawsze i uśmiechnięty, organizuje dostawę lekarstw z „wolności” i rozdział ich pomiędzy więźniów w obozie męskim i żeńskim. Wanda pracuje u kobiet. W Politische Abteilung siedzą nasze towarzyski, prowadzące doskonale wywiad. Rot ślęczy nocami nad skrawkami papieru, pisząc raporty i komunikaty. Polska i zagranica wie już następnego dnia, co się dzieje w tej największej kaźni świata, jaką jest Oświęcim. Na SS pada strach. Węszą źródło tych wiadomości.

Przyjeżdża specjalna komisja SS do badania nadużyć. Zawiadamiamy ich drogą określoną, gdzie są potrzebne materiały, aby w ten sposób zniszczyć do reszty wpływ Politische Abteilung. Aresztują dziesiątki esesowców z obozu, esesowcy szukają sporadycznie zbliżenia do więźniów. Nawijamy szeregi kontaktów, wyzyskujemy je do ucieczek, demoralizujemy esesowców celową, defetystyczną propagandą. Esesowcy zaczynają uciekać.

Tymczasem sytuacja polityczna w Polsce przedstawia dużo do życzenia. Z troską, acz z ufnością śledzimy bieg wypadków, szczywnie do wspólnej, aktywnej walki z Hitlerem. Wyrażamy jasno swój pogląd o potrzebie jedności ruchu robotniczego, o jedności narodowej, o walce zbrojnej.

Czerwona Armia jest coraz bliżej nas. Co będzie z nami, pytają rzesze więźniów. Co z nami zrobią? Towarzyszu, ile trudu i zapłać, ile ofiar trzeba będzie — mówiliśmy — rozpatrując plan obrony obozu i włączenia się do aktywnej walki.

Traktowaliśmy obóz zawsze jako całość, bez względu na jego skład narodowy. Ta całość musi się bronić, ta całość nie może iść na rzeź. Plan nasz obejmuje zarówno akcję propagandy „zagranicznej”, jak i przygotowanie obozu do — walki. Tak, do walki o życie i wolność.

Ratujcie Oświęcim — piszemy do kraju, podając autentyczną rozmowę nowego komendanta o planie likwidacji. Po paru dniach Londyn podaje nasz tekst, i następny i jeszcze jeden, zaczynają się szczegółowe audycje o Oświęcimiu, cyfry, fakty, Ale Londyn nie wierzy. Towarzysze nasi raportują po ucieczce: nie ma możliwości.

AK wysłał specjalnego instruktora w terenie, celem opracowania planu działania. Instruktor wpada wraz z planem i dostaje się do obozu, jako ciężko ranny. Pamiętasz te dni napięcia nerwów?...

Plan nasz jest prosty. Zorganizować grupy wojskowe, uzbroić je, choćby najprymitywniej, w razie próby likwidacji nas przemocą czy podstępem, wyrwać się z obozu siłą i iść na partyzantkę. Potrzebujemy ludzi fachowych. Niestety grupy oficerskie nie chcą nie tylko z nami, ale same ze sobą współpracować.

Tworzymy wreszcie wspólną Radę Wojskową. Plan jest gotów. Broni nie ma. Dostajemy do obozu materiał wybuchowy, ale bez detonatorów, zdobywamy pistolety, ale bez amunicji, ktoś „organizuje” proch. Kilku oficerów Brygad Międzynarodowych, kilku oficerów Wojska Polskiego, kilku towarzyszy. A już są grupy i trochę broni i wola nie dania się. Obóz w Brzezince domaga się akcji ogólnej. Za wczesnie, front daleko, brak kontaktu z armią radziecką. „Sonderkommando” porwya za broń i zorganizowane przez naszych oficerów sowieckich, wylamuje się częściowo z obozu. Wieczorem jest silny nalot aliancki, pogoń utrudniona.

Gestapo nie śpi. Aby „rozładować” obóz, postanawia wywieźć z niego przede wszystkim Polaków i Rosjan. Jest to dla nas cios dotkliwy. Szybko nastawiamy robotę wojskową i polityczną na nowy tor, alarmujemy gdzie trzeba i staramy się powstrzymać akcję wywiezienia naszych towarzyszy. Mamy pełne ręce roboty. Udaje się nam, ale nie na długo. W przygotowaniu są masowe, ewakuacyjne transporty. Co robić?

Przed wszystkim wyносimy z obozu wszystkie dokumenty, papiery, listy, wszystko, co

jest oskarżeniem, dokumentem, świadectwem tego nieludzkiego czasu.

Wszystkie siły kierujemy na zorganizowanie masy żydowskich więźniów, najbardziej narażonych na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Towarzyszy wyjeżdżających organizujemy w grupy, krótkie pożegnania, uścisk dłoni, może na zawsze?

Zostałeś towarzyszu, kiedy Armia Czerwona blisko już była, uciekłeś z całą grupą, aby do broni, aby do walki czynnej, a uciekłeś niedaleko, pod szubienicę tylko, zdradzony, przywieziony do bunkra, wieszany przy okrzyku „Niech żyje wolna Polska, niech żyje Związek Radziecki”. Ty, Austriak, wołający o Polskę. Zawiodła Cię trucizna, stryżek nie zakończył Twojego czynu. My jeszcze żyjemy — towarzyszu Adamie.

Towarzysze nasi powędrowali do wielu obozów koncentracyjnych w hitlerowskich Niemczech. W każdym z nich stanęli do walki, tak jak tu — w kaźni świata, w Oświęcimiu. Padali od kul po drogach przemarszu, ginęli w innych obozach z chorób i głodu, ginęli w zbrojnej partyzancie czeskiej, walczyli na barykadach w czasie powstania w Pradze. Ci, co uciekli, stawili się do pracy w swych oswobodzonych krajach.

Są dziś we Francji, Belgii, Czechosłowacji, Niemczech, Austrii, Grecji, Polsce, ZSRR, Jugosławii — ci, co nie opuścili rąk, ci co przeżyli.

Z dumą patrzcie na Oświęcim, wykuwający w czasach grozy jedność wszystkich elementów demokratycznych w walce o wolność, dający wszystkim ojczyznom zahartowanych w tej walce ludzi, padających od kul i stryżek, a nie dający się ugiąć, Oświęcim czynu inieńskiego.

Pamięci tych co padli, napisałem ten list.

Robert, więzień nr 62937

## Sprawy operowe

Kraków stał w ostatnich dwóch tygodniach pod znakiem muzyki operowej. „Alda” w wykonaniu koncertowym w sali YMCA, oraz dwukrotnie powtórzone wewła arii operowych, interpretowanych przez szereg znanych, krakowskich i zamiejscowych śpiewaków — wszystko to przy tłumnym udziale publiczności — oto jeszcze jeden dowód więcej, jak bardzo potrzebna byłaby tej publiczności stała opera w Krakowie. Na żadnej z tych imprez niestety być nie mogła, trudno mi więc powiedzieć coś bliższego o ich poziomie wykonawczym. Przypuszczam raczej, że z artystycznego punktu widzenia miały niektóre z nich poważne niedociągnięcia, zresztą już sam fakt przeniesienia opery ze sceny na teren estrady robił z takich koncertów coś w rodzaju namiastki artystycznej. Pozbawiona akcji scenicznego, odarta z kostiumów i dekoracji opera zdana na estradzie wyłącznie tylko na stronę muzyczną, rzadko wytrzymała próbę życia. Jest to bowiem muzyka pomyślana już w założeniu swym z gruntu inaczej niż utwór symfoniczny czy oratorium, obliczona bardziej na efekt zewnętrzny, z którym łączy się na scenie. Tylko nie wiele utworów operowych wytrzymuje taki eksperyment przeniesienia ich na estradę (Mozart, w niektórych wypadkach Wagner, Moniuszko). Większość z nich traci tu swe najistotniejsze wartości. Można się zresztą spierać o to, czy muzyczna wartość opery w ogóle dorównuje muzyce symfonicznej czy oratoryjnej. Ale bez względu na to, jakie zajmie się stanowisko w tej dyskusji, jedno jest pewne: społeczna wartość muzyki operowej jako środka muzykalnego szerszych warstw publiczności, tzw. laików, jest wprost olbrzymia. Opera — oczywiście ta prawdziwa opera na scenie, ze swą akcją zahaczającą bezpośrednio o konkretne sprawy życia, z żywym ludźmi na scenie, nazywanymi po imieniu zarówno swe uczucia, jak i sytuacji i konflikty życiowe, które ją zrodziły — podaje temu laikowi treść muzyki w formie o wiele bardziej zrozumiałej, niż abstrakcyjne symbole dźwiękowe w tworze muzyki (tzw. „absolutnej”, tj. przemawiającej poprzez sam tyłko dźwięk, bez pomocy słów) czy akcji scenicznego. Dlatego laikowi zawsze będzie bliżej muzyki operowej niż jakiegokolwiek inna. Poprzez muzykę operową łatwiej i prędzej nauczy się kochać muzykę i rozumieć ją, dotrzeć do jej istoty. Stąd to wielkie powodzenie wszelkich imprez operowych u szerszej publiczności. Stąd nawet ta namiastka opery, jaka jest opera na estradzie, tak przyciąga tę publiczność, przyciąga ją nawet bez sceny, dekoracji i kostiumów: przypomina jej te wzruszenia artystyczne, które przeżywała kiedyś, widząc ją w jej pełnej formie na scenie. Publiczność, słysząc na koncercie ulubioną arię z „Aidy”, „Toski” czy „Carmeny”, dorabia sobie do niej całą stronę wzrokową, zwykle tak dobrze znana, oraz przekład anegdotyczny i słucha jej tak, jak gdyby ta aria śpiewana była w danej chwili na scenie.

Te momenty psychologicznej i społecznej natury powinno się, koniecznie wziąć w rachubę w obecnym okresie organizowania na nowo życia muzycznego w Polsce. Opera jako jeden z najdoskonalszych i najpewniejszych środków upowszechnienia muzyki powinna się znaleźć w tym życiu jak najrychlej. Na razie słyszy się o projekcie powołania do życia jednej zaledwie placówki operowej w Poznaniu, gdzie ocalał — jedynym zresztą w Polsce — gmach teatralny, odpowiadający postulatowi opery. Jest to absolutny pozostawienie sprawy publiczności polskiej, która — jak tego dowód na każdym kroku — specjalnie interesuje się tym działem muzyki. Szczególnie w Krakowie przedstawiającym obecnie największe w Polsce skupisko intelektualne, brak ten dotkliwie daje się odczuć. Inna przedstawia zresztą problem społeczny i od innej jeszcze strony: jako warsztat pracy liczących rzesz śpiewaczy, w tej chwili bezrobotnych. Śpiewacy ci, nie mając dla swej pracy właściwego rynku zbytu, radzą sobie jak mogą i nie ma w tym nic dziwnego. W namiastkach opery, przeniesionych na salę koncertową, znajdują nie tylko pewną pomoc materialną, ale i jedyną w danej chwili formę wyzycia artystycznego. Taką samą potrzebą jest opera dla naszej studującej młodzieży muzycznej. Otwieramy szkoły muzyczne, konserwatoria i studia operowe. Dążeniem naszym jest popierać młode talenty, pieczę nad tym, by się nie zmarnowały, by otrzymały możliwie najlepsze warunki rozwoju. Ale jakże wyobrazić sobie prace i wyszkolenie młodego adepta studia operowego, który pozbawiony jest w ogóle możliwości poznania repertuaru operowego, oglądania jego najistotniejszych dzieł na scenie, w wykonaniu dobrych artystów, z udziałem odpowiednio postawionej orkiestry, chóru, reżyserii itd.?

Dla tych wszystkich powodów nie wolno nam zapominać o operze — nie wolno traktować jej po macoszemu. Reprezentuje ona zupełnie specyficzny, samostany wytwór życia muzycznego, który nie da się zastąpić niczym innym. Bez odpowiedniego potraktowania sprawy operowej pozostanie nasza kultura muzyczna zawsze niepełna. Jeżeli leży nam naprawdę na sercu problem upowszechnienia muzyki i umuzykalnienia mas, to musimy sięgnąć do opery jako jednego ze środków najpewniej do tego celu wiodących. Nie jedna — ale kilka operowych placówek postawionych na odpowiednim poziomie i obsługujących większe środowiska metodą objazdową, jest nam niezbędnie potrzebnych. I nie opera na estradzie, ale właśnie na scenie, z arią, aktami, kostiumami i dekoracjami, taka, która — choć drogą okólną — najbardziej popularyzuje samą muzykę.

Stefania Łobaczewska

ANTUR SANDAUER

# Zawile

Kiedy w trzecim wieku po Chrystusie rozpoczęły się zawzięte spory między zwolennikami biskupa Aleksandrii, Atanazego, a presbitera Ariusza o to, czy Syn jest współistotny Bogu Ojcu, czy też tylko doń podobny, homouios — jak wówczas mówiono — czy tylko homoiusios, różnica między obiema tępiącymi się bezlitośnie partiami zdawała się przejrzysta i wyraźna: chodziło o „i“ (w słowie homoiusios). Co prawda poza tą krwawą literą kryła się sprawa istotniejsza: plebiona germańska, które wyznawały arianizm i pod pozorem teologii przeraźliwie łupły cesarstwo bizantyjskie. Niemniej faktem pozostaje, że dla owej gloski wyrzygnięto tysiące ludzi, żony optakiwały mężów, matki — synów itd.

Ciskano zresztą w siebie nie tylko dzidami, lecz również ideologią: traktatami, ekskomunikacjami, poematami. I teraz, po 16 wiekach, czytelnik — jeden z tych, których w dziele sztuki podnieca jedynie postępowość, nieczuły — zaś pozostawia tzw. wartość estetyczną — natrafiwszy przypadkiem na wytwór literacki owej epoki, ariński lub atanazyjski, znajdując się w niebyle jakim kłopotcie, nie wiedząc czy owo „i“ jest progresywne czy też reakcyjne; póki szczęśliwie znaleziona encyklopedia nie pouczy go, że na soborze nicejskim (r. 325) zwyciężył dogmat Atanazego i że zatem on, jako zwycięzca, ma wszelkie prawa do miana postępowego. Wtedy dopiero, uspokojony, zasiądzie do heksametrów jakiegoś Claudiana, pewien, że może się nim zachwycać, bez obawy o swoje zasady.

To stawianie cenzurki z postępowości jest bodajże jeszcze trudniejsze, gdy chodzi nie o poszczególnych autorów, lecz o całe epoki. Istnieją bowiem okresy (jak we Francji Restauracja, jak czasy międzywojenne w Europie zachodniej) niezaprzeczone reakcyjne. Cóż tedy ma począć pisarz, który w celach samodoskonalenia się postanowił być progresywnym? Któremu duchowi czasu być posłusznym? Większemu czy mniejszemu? Każdy rozsądnie, tzn. historycznie myślący człowiek, odpowie, że większemu. Lecz ów duszek mniejszy również domaga się wyrazu, by nie zginąć niesławnie. Rodzą się wówczas owe specyficzne wytwory epok reakcyjnych, jak np. cały feodalistyczny romantyzm, którego wieżyczki, baszty, księżniczki i paziowie wyrażają w gruncie rzeczy tęsknotę zbankrutowanej arystokracji (hr. de Vigny, de Chateaubriand, de Lamartine itd.) za okresem świetności swej klasy — średniowieczem. Mimo to owe produkty wstecnicstwa mogą być estetycznie cenne, jeśli wyrażają **prawdę** psychologię swojej, na zagładę skazanej, klasy. I nadaremnie zarzucilibyśmy im nie-realizm, fantastykę, demiurgizm, alchemię słowa i jeszcze parę grzechów głównych. Oczy uchodzącej w przeszłość klasy, zwrócone ku przeszłości, nie dostrzegają wyraźnych konturów wyprzedzającego ją świata; i czymże, jeśli nie idealizacją secesji, mieszczańskim romantyzmem, jest np. „Czarodziejska góra“ Manna i bodaj czy nie „W poszukiwaniu straconego czasu“ Prousta?

Toteż niesłuszny jest zarzut Mieczysława Jastruna, wytoczony w artykule „Poza rzeczywistością historyczną“ („Kuznica“, nr 1) przeciw symbolistom, jakoby „tworzyli oni świat, rządzący się własnymi prawami, niezależny od umowy społecznej“, gdyż „jeżeli w ideologii ludzie i ich stosunki wydają się stojącymi na głowie, to wylika to również z historycznego procesu ich życia“ („Archiwum Marksa i Engelsa“, ks. I, Moskwa, str. 215). Fantastyka symbolistów wyraża właśnie sprzeczności i „postawienie na głowie“ ich bazy. Nie można im zatem zarzucić „niezależności od umowy społecznej“, co jest w ogóle niemożliwe. Toteż Jastrun wytacza nie-bawem inny argument, tym razem realistyczny: „że przedstawiają oni świat inny niż ten, który jest nam bezpośrednio dany“. Ale bezpośrednio, tzn. w doświadczeniu zmysłowym dane są nam również złudzenia optyczne, sny, halucynacje, a jednak wątpić należy, aby realistę zadowolili tak pojęta rzeczywistość. Jeśli znów słowo „bepośrednio“ ma oznaczać „zgodnie ze współczesnym stanem wiedzy“, to należało by np. napisać: „Bohater siadł na rowowisko elektronów, ufając, że — w myśl teorii prawdopodobieństwa — zdoła się utrzymać na ich powierzchni“. Sztuka nie może przedstawiać świata bezpośrednio danego, ani przez doświadczenie zmysłowe, ani przez stan współczesnej nauki; lecz jedynie rzeczywistość społeczną, tj. ogólnie przyjętą, określoną warunkami historycznymi i klasowymi autora. Każda epoka i warstwa ma swój sposób jej odbioru i w ramach tej właśnie metody percepcji tworzy sztukę — lepszą lub gorszą, którą możemy ideologicznie zwalczać, lecz nie mamy prawa potępiać artystycznie.

Błąd myślowy, który się czaił poza tym wszystkim, dawno już przewyciężony w krytyce marksistowskiej i napiętnowany w podrecznikach jako wulgarny socjologizm, przepływał się teraz, spóźniony, do naszej literatury i nawiedza łamy czasopism. Ow „wulgarny socjologizm, który był u nas (tj. w ZSRR) nie dawno bardzo rozpowszechniony, analizował tylko ideologię pisarza. Pisano o poglądach Puszkińskich, a nie o jego twórczości itd. W istocie zaś dzieło nie da się sprowadzić do ideologii... Gdyby pisarz chciał wyrazić

tylko swoje poglądy, pisałby po prostu polityczne traktaty“ (L. I. Timofiejew, „Osnovy teorii literatury“, 1940, str. 33).

Postulat realizmu nabiera sensu dopiero wtedy, jeśli określić, przeciwko czemu jest on wymierzony. W artykule „Możliwości nowej prozy“ („Odrodzenie“, nr 27) próbowałem wskazać na ową antytezę realizmu: na psychologizm. Zamiast komentarzy do komplikacji duchowych należało by ukazać postępkę, w których się one wyrażają. W żadnym jednak wypadku nie należy realizmu przeciwstawiać formalizmowi. Przez słowo to rozumiem nie kult sztuki dla sztuki — co jest szkodliwym błędem, — lecz pogląd, że dla kształtu artystycznego dzieła, dla efektu i realizmu całości można, jeśli kompozycja tego wymaga, poświęcić zgodność **szczegółów** z rzeczywistością. Cóż nam z tego, że zestawimy autentyczne wypadki, jeśli całość jest fałszywa i nieprzekonywująca? Cóż nam z szczegółów realistycznych, nagromadzonych w „Psalmisze“ Zofii Drózd, jeśli na oczach naszych dokonuje się tam cud, bardziej niewiarygodny, niż przejście przez Morze Czerwone: bohaterka, żona komendanta policji ukraińskiej za czasów okupacji, która stroi się przed lustrem w zrabowane suknie żydowskie i myśli rzeczowo, że trzeba zmyć z nich plamę krwi (jakie to symboliczne!), nagle, dowiedziawszy się, że syn jej poszedł do partyzantów, w oka mgnienia przeistacza się: suknie rzuca do pieca, sama zaś zbliża się do ludu, uosobionego w postaci niejakiego Andrzeja. Dobry Sienkiewicz, którego chyba nikt nie posądzi o zbyt realizm, używał na przemian wewnętrzne swych bohaterów, Kmiciców, Winicuzów, po parę miesięcy; Zofia Drózd wystarczy parę minut: Psalmicha odrodziła się i ani śladu nie zostało z dawnej hieny. Stokroć prawdziwszą jest fantastyczna groteska Gombrowicza, niż taki realizm.

KAZIMIERZ MORVAY

## Kształcenie artystów

Artykuł Jana Cybisa „Nauka malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych“ („Odrodzenie“, nr 27) porusza bardzo istotne zagadnienia związane z wyższym szkolnictwem plastycznym. Nasuwa on jednakże poważne wątpliwości.

„... wielki artysta pozostać może w zupełnym oderwaniu od życia praktycznego“ — pisze Cybis. Istotnie, jakby potwierdzając to wyznanie, Cybis nie dopuszcza myśli, że życie artystyczne zmienia się pod wpływem przeobrażeń życia społecznego.

Nie wiemy, jakie zmiany spowoduje w sztuce nowy ustrój, ale wiemy, że każda przemiana społeczna powołując do życia nowego mecenasa odwraca karty historii sztuki.

Ostatnim etapem historii sztuki była tak nazwana przez Cybisa „sztuka doznaniowa“. O ile się nie myli, jest to subtelna forma postimpresjonizmu, a mecenasem tej sztuki była na Zachodzie burżuazja mieszczańska, a u nas prócz mieszczaństwa niektóre kulturalniejsze jednostki ze sfer obszarńskich. Mecenas-obszarńnik przestał już istnieć — a rolę mecenasa przejęło państwo, którego gospodarzem jest lud. Nie wiemy, czy nowemu mecenasowi będzie odpowiadała wybitnie elitarna sztuka doznaniowa, wiemy natomiast, że dziś przeżywamy okres największych przemian politycznych i społecznych, jakie zna historia. Jest mało prawdopodobne, by na sejsmografie wrażliwości artystycznej tak wielki wstrząs pozostał bez zanotowania.

Projekt Cybisa przewiduje zorganizowanie akademii wyłącznie jako „pepińniery“ sztuki doznaniowej, co jasno wynika z jego słów, kiedy omawia pomocnicze przedmioty nauki w akademii: „Anatomia i perspektywa, które tak świetną kartą zapisały się w epoce renesansu, nie mają dziś w epoce sztuki doznaniowej żadnego prawie znaczenia wychowawczego“. Obawiam się, że tego rodzaju plan nauki mogłyby stworzyć nową, może jeszcze szkodliwszą formę akademizmu. Nie dając wiadomości z zakresu teorii i rzemiosła, nie przysposabiałyby ucznia do tego, by sam nawiązywał kontakt z życiem i ze społeczeństwem, mógł się swobodnie wypowiadać.

Drugim zasadniczym zagadnieniem poruszoną w artykule Cybisa jest podział artystów na dwie kategorie. Dowiadujemy się, że właściwymi artystami są ludzie, „którzy w swojej bezinteresownej pasji cierpią praktycznie“, którymi należy się opiekować, i są artyści drugiej kategorii, mniej zdolni. Ci mniej zdolni, nadają się tylko do robienia sztuki użytkowej. Cybis zapomina, że takie drobniaki, jak rzeźby i witraże katedr gotyckich, jak malowidła kaplicy sykstyńskiej, jak arras wawelskie, to też sztuka użytkowa.

Takie postawienie kwestii może spowodować zamęt, zwłaszcza że pochodzi od dobrego artysty. Zresztą selekcji uczniów musiałoby się dokonać już przed przyjęciem do akademii. Wymagałoby to jakichś dotychczas wynalezionych czułych aparatów, by móc nieomylnie zakwalifikować przyszłych uczniów: jednych jako artystów twórczych, drugich jako artystów użytkowych.

Cybis chciałby stworzyć dwa oddzielne typy

Toteż słusznie pisze Timofiejew: „W szeregu wypadków pisarz, by uwydatnić to, co chce przedstawić, może naruszyć życiową konsekwencję wypadków itp., starając się w ten sposób dopiąć większej prawdziwości utworu, większej siły jego działania. By uzmocnić ten śmiały stosunek artysty do rzeczywistości, Goethe swego czasu przytaczał obraz Rubensa, gdzie postaci rzucają cienie w głąb obrazu, grupa zaś drzew — w kierunku widza, jak gdyby światło padało z dwóch przeciwnych stron... Szekspir — według słów Goethego — stara się dać to, co w danej chwili najbardziej wyraziście i efektywne, każe swym osobom mówić za każdym razem to, co najbardziej mu odpowiada i co może w tym miejscu wywołać najsilniejszy efekt, nie bardzo troszcząc się, czy słowa te nie stoją w sprzeczności z wypowiedzianymi gdzie indziej słowami. Toteż — dodaje Timofiejew — porównywać utwór z rzeczywistością można jedynie wychodząc z tych założeń, które są zawarte w dziele, a nie na podstawie bezpośredniego porównania szczegółów dzieła ze szczegółami rzeczywistości“ (tamże, str. 41).

Tak tedy, głosząc realizm, należy naprzód zdefiniować, co się pod nim rozumie i czemu się go przeciwstawia. Należy wreszcie unikać powoływania się na umarłych lub nieobecnych w nadziej, że nie mogą się oni bronić przed niespodziewaną przyjaźnią. Z artykułu Jastruna dowiadujemy się między innymi, że „Julian Tuwim jest przeciw swej twórczości pisarskiej matematykiem formy“. Stąd oczywisty wniosek, że „Tuwim jest przede wszystkim realistą“. Jakim sposobem z tego, że ktoś jest matematykiem formy (ale — broń Boże — nie alchemikiem słowa, czego Jastrun zabrania) wynika, że jest on realistą, zapytać mógłbym nie tylko ja, ale i Mallarmé, który zapewne czułby się zaskoczony tak pochlebnym epitetem. W twórczości zaś autora „Rzeczy czarnoleskiej“, „Biblii cygańskiej“ i „Treści gorejącej“ realizm można by się chyba dopatrzeć tylko w niewielkim poemacie, zaczynającym się od słów: „O, Ludwiko, miłością płonę dzika“. Ale wątpię, aby to był wzór godny naśladowania.



Okładka „Piacówki“ Bolesława Prusa, która ukazała się w ZSRR nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej

## Kronika kulturalna Francji

Bernanos w roli oskarżyciela. W Brazylii ukazała się z końcem 1944 r. niewielka (80 stron) książka francuskiego pisarza katolickiego, G. Bernanosa. Nosi ona tytuł „Ecrits de combat“ i stanowi namiętny akt oskarżenia przeciw zwolennikom Hitlera we Francji. (Wiadomo, że już przed wojną autor „Dziennika wiejskiego proboszcza“ toczył ostrą walkę przeciw faszyzmowi; dowodem jego książki: „Cmentarze w świetle księżyca“ i „Trwoga ludzi wierzących“). W „Ecrits de combat“, w rozdziale pt. „List do kanadyjskiej zakonnicy“, Bernanos pisze: „Obecni władcy Francji są tego samego ducha, tego samego pochodzenia i tej samej krwi — co ci, którzy zawiadli Joannę D'Arc na stos. Od wielu lat szukamy winnych upadku chrześcijaństwa. Nie znajdujemy ich. Szukamy bowiem na zewnątrz obozu chrześcijańskiego, gdy oni są wewnątrz. Upadek Francji wydobyl ich nagle z ukrycia. To mierni chrześcijanie i mierni ludzie. Sprzedają oni po kałwałku honor swojego kraju“. W rozdziale „Wstyd“ zaczyna autor Maurrasa, zarzucając mu „monstrualny genjusz dialektyczny, idealizm à rebours i integralno-narodowy masochizm“. W ustępie „Rozstrzelanie zakładników“ pisze o Petainie: „Musimy pozabawić cześć jego pamięć i nazwisko, zanim je wyrzucimy na śmietnik zapomnienia“.

Duhamel w walce z gestapo. Autor tak dobrze znanej „Kroniki rodu Pasquier“ Duhamel milczał całą wojnę. Odrzucił wszystkie oferty współpracy z Niemcami i Petainem, brał żywy udział w Ruchu Oporu. Jakis nikczemnik denuncjował go w gazdźnowej „Gerbe“. Na szczęście gestapo nie zdołało uwieźć wielkiego pisarza. Obecnie Duhamel ogłosił trzy książki przygotowane widocznie w okresie konspiracji: „Chronique des saisons amers“, „Inventaire de l'abime“ i „Civilisation française“. Na łamach „Vie Intellectuelle“ opowiada Duhamel swe przygody z okresu ukrywania się przed gestapo.

Oswobodzenie Paryża. W kwietniu ukazała się w Paryżu luksusowo wydana książka pt.: „Dni sławy“, poświęcona wyzwoleniu francuskiej stolicy. Autorami są: Colette, Valery, Eluard, André Billy, Al. Arnoux, Ch. Vildrac, P. J. Laynaud, H. Callender. Ilustracje Picassa, Daragnesa i Diguimonta. Do końca roku 1943 Niemcy wymordowali w Paryżu 50 000 „zakładników“. Powstanie paryskie rozpoczęło się 18 sierpnia o świcie, walka o prefekturę policji. Decydującą rolę odegrały walki na barykadach.

Zwycięstwo Ramuza. Przed 30 laty przybył do Paryża z romańskiej Szwajcarii młody pisarz C. F. Ramuz. Jego powieść „Zycie Samuela Bellet“ nie wywarła wrażenia. Dopiero około roku 1922 inna jego książka zwróciła uwagę. Powoli pisarz zdobywał sobie coraz większe uznanie dzięki oryginalności, jasności, szlachetności i sile. Obecnie ukazuje się w Paryżu w „NRF“ nowa edycja „Samuela Belleta“, przyjęta z entuzjazmem przez krytykę. Maritain wyraził się, że idee Ramuza są kontynuacją myśli św. Pawła. Warto przypomnieć, że pisarz francusko-szwajcarski został także u nas spopularyzowany dzięki Stefanowi Flukowskiemu, który przełożył dwie powieści Ramuza i jeden jego essay. Podczas wojny Ramuz manifestował swe uczucia przyjaźnie Polsce i prowadził propagandę antyhitlerowską.

Francuskie miesięczniki. Z powodu braku papieru dopiero w styczniu b. r. ukazały się na nowo miesięczniki francuskie, ale od razu w wielkiej ilości. M. in. wznowiono wydawany przez Dominikanów miesięcznik „La Vie Intellectuelle“. W pierwszym numerze złożono hołd zamordowanemu przez Niemców O. Louis Favre, a E. Gilson przestrzegł przed niedocenianiem przez Francuzów myśli i pracy obcych narodów. W „Etudes“, które jest również pismem katolickim, oceniono entuzjastycznie twórczość „poetów walki podziemnej“, komunistów: Aragona, Eluarda i Emmanuela. Istnieje ponadto pismo „La Nef“, przeniesione z Algieru; współpracują tu: Mauriac, Maurice Schuman (artykuł o niebezpieczeństwie germanizmu i możliwości jego odłożenia egzystencjalizmu). Pismem specjalnie poświęconym poezji jest „Eternelle Revue“, która powstała w okresie okupacji pod redakcją Eluarda. Nowy numer przyniósł okładkę skomponowaną przez Picassa i utwory 30 poetów (m. in. Aragona, Eluarda, Max Jacoba, Sartre'a i innych z Ruchu Oporu). Pismem młodzieżowym są „Cahiers de notre Jeunesse“, zawieszone w roku 1943 za protest przeciw deportacjom. „Chotx“ jest pismem, omawiającym najbardziej interesujące artykuły prasy zagranicznej. Nadto wychodzą czasopisma filozoficzno-literackie: „Les Lettres“, „Poesie 44“ i „Esprit“, wydawany jak przed wojną przez Emanuela Mounier. To ostatnie pismo grupuje zarówno katolików, jak i ludzi lewicy i dopuszcza zupełnie swobodnie, nieskrępowane dyskusje między współpracownikami.

„Henryk III, król Polski“. Niepopularne u nas, już za Kochanowskiego, rządy Henryka Walezego w Polsce, doczekały się francuskiej monografii naukowej. Jest nią książka Pierre Championa, która wyszła u Grasset'a pt. „Henryk III, król Polski“. Jest to, zupełnie zresztą obiektywna, próba obrony Henryka przez wskazanie na trudności polityczne, walki stronnictw i stanów, spory religijne, niebezpieczeństwa zewnętrzne itd. Książka rozpoczyna się od opisu nastrojów, panujących w Krakowie w r. 1573.

Nowe spojrzenie na kardynała Richelieu. Jean Cann wydał nową monografię o kardynale Richelieu. Nie ukrywając błędów i wad słynnego ministra, autor podniósł jego niezwykłą energię, odwagę, konsekwencję i wytrwałość. Stawiając sobie jako cel zasadniczy potęgę Francji, Richelieu nie ubliżanie tamą wszelki opór nie wahając się nawet uwieźć królowej-matki lub ostro ścierać się z samym monarchą. W polityce zagranicznej kardynał — choć gorący katolik — popierał obcych protestantów, gdy tego wymagał interes Francji.

Niedostatecznie znany badacz. August Gallois w „Le Peuple“ ujmuje się za wielkim uczonym francuskim, prof. Langevin, niedostatecznie znanym i popularnym we Francji. Po studiach w kraju odczytaniem Langevin pracował w laboratorium Cavendisha w Cambridge. Sławny ten uniwersytec brytyjski wychował najślawniejszych fizyków świata. Po powrocie Langevin zastąpił pracami o magnetyzmie i teorii względności oraz obroną determinizmu. Brał również żywy udział w pracach Ligii Obrony Praw Człowieka. Mimo sędziwego wieku (ma obecnie 73 lata) należał Langevin do najczystszych i najbardziej owocnych francuskiego Ruchu Oporu. I



